Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1893. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z zatargów rodzinnych i z ekonomii łowieckiej.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

I.

Gdyby łowiectwo nowoczesne było jedynie rozrywką, jak to się zdaje tym, którzy uważają go za nieodrodne dziecię „tradycyjnego brutalnego rzemiosła“, za „resztki jakiejś dzikiej pasyi pewnych klas“, to wcale niestosowną byłaby rozprawa o niem ekonomicznej treści, bo rozrywki wymagają oceny z innego punktu widzenia.

Tak jednak nie jest; dzieciak ten wyrodził się do niepoznania, nie wyzywa on już niczyjej bohaterskiej odwagi, bo brakło by jej wkońcu wśród tak kolosalnego zapotrzebowanie tego artykułu w kolejach i walce życia tegoczesnego, lecz przeciwnie wymaga szczególnie umiejętnych i na wskróś pokojowych starań, aby nie zginął z braku sił żywotnych wśród ciasnoty na ziemi.

Cała Europa spogląda bądź z pietyzmem, bądź przez szkła ekonomiczne na łowiectwo i na faunę łowną. Nietylko rządy despotów, ale równie monarchie konstytucyjne jak i liberalne ustawy republik strzegą zwierzynę.

Wśród samodzierzczych rządów prosperują resztki żubrów w puszczy Grodzieńskiej, specyalne ustawy chronią łosie w Prusach wschodnich, bobry pod Magdeburgiem, koziorożce w górach Piemontu, kozice i świstaki *(Arctomys marmota)* strzeże ustawa z dnia 19 lipca 1869 w naszych Tatrach, niemniej w republikańskiej Szwajcaryi stoi zwierzostan kozic w Kantonie Glarus pod strażą bardzo surowych praw ochronnych, a w innych kantonach tego kraju całe pasma górskie są wyłączone z praw łowieckich w celu spokojniejszej rozmnoży pewnych zwierzostanów.

Równocześnie zwierzostany łowieckie zostają w całej Europie pod opieką mniej lub więcej trafnych ustaw, których ciągłe zmiany, wywołane potrzebą chwili i postępem nauk, nie schodzą z porządku obrad w kołach fachowych i w reprezentacyach krajów. Lecz częstokroć krzyżują się drogi przyrody i kultury, a wtedy następują dotkliwe starcia, i nowo wytworzone stosunki stają się zarzewiem dalszych zatargów i niepokojów, bo gdy raz prawa przyrody zostaną naruszone, trudną jest rzeczą utrzymanie równowagi w ogniwach jej łańcucha.

Drażliwa to sprawa omawiać rodzinne niesnaski, zwłaszcza gdy walka tak jak tu toczy się na nieuchwytnym terenie, na którym tak prostaczek jak i doktryner łatwo powikłać się może. Drażliwa to sprawa i z tego względu, że wchodzą tu w grę trzy siostrzyce ziemiańskiej produkcyi, z których jedna poważna i zamożna, druga pracowita i intratna, a najstarsza i co dziwna najpowabniejsza, choć trochę pusta dziewczyna, upomina się przy lada popuszczeniu cugli o swe tradycyjne prawa.

Charakter tej najstarszej siostrzycy, tyle sympatyczny naturze człowieka, jedna jej wielu przyjaciół; w obronie jej stają do walki całe zastępy adeptów szlachetnego tradycyjnego łowiectwa i kruszą się kopie, a tymczasem w ciemnej kniei modli się dziatwa Dyany: „Boże chroń mnie od tylu przyjaciół, bo z nieprzyjaciołmi, znając dobrze ludzi, jakoś sobie poradzę“.

Postępowy prąd coraz to nowe zbrodnie zarzuca zwierzynie i coraz to większe piętrzą się trudności, w miarę zmian, jakie w kulturze ziemiańskiej wywołuje postęp. Lecz zato w przeciwnym obozie budzą się uspione dotąd zapały, a za sercem zwraca się częstokroć rozum, i wchodzi na szerokie pole nieprzesądnej wiedzy i doświadczenia. I skutkiem walk podobnych sprawa zwierzyny weszła na dobre tory, bo pod egidą władzy i społeczeństwa zapewniono jej prawo obywatelstwa. Pod ochronną ręką rozsiedla się ta pusta a powabna hołota wśród kniei i pól, a gdy naturalne zapasy karmy już jej nie wystarczają, dzieli się z nią człowiek owocem własnej pracy. A tu i owdzie sędziwy leśnik, choć się naczytał o spustoszeniach, jakie ongi bóbr w lasach czynił, okolony całą zgrają swych leśnych pupilów, wypowiada z żalem: „Miejsza z tem, gdybyśmy go tylko mieli!“

W takim chwiejnym stanie rzeczy, gdzie amatorstwo, szowinizm i doktrynerya nie dozwalają utrzymać na długo błogiej równowagi, gdzie działają na przemian to równowaga to zapamiętałość, a najczęściej bezmyślne wdzieranie się w gospodarkę przyrody, nie łatwo przychodzi do racyonalnego ustalenia stosunków łowieckich. I nie dziw, że tyle smutnych doświadczeń za nami na tej drodze, nie dziw, że nieświadome gwałcenie praw przyrody jest jeszcze zawsze chlebem powszednim, gdyż chcąc poprawić, nietrudno tu przydłużyć lub przykrócić pewne ogniwa przyrody, których poprawa zdaje się być wskazaną, bardzo zaś trudno dociec, w jakiej mierze coś reformy wymaga, a już wcale ciężkiem zadaniem staje się odwrócenie złych skutków błędnej reformy.

W sprawach tego rodzaju potrzeba sobie zatem z góry powiedzieć, że nie masz tu szczegółów ważnych i błahych, że wszystko tam w jednę wielką łączy się całość, że wszystko składa się na jeden wielki rezultat kultury pod kierunkiem oględnego a świadomego rzeczy umysłu ludzkiego. A dążąc ku temu wspólnemu celowi, mogą nieszkodliwie, tuż obok siebie, płynąć strumienie ziemiańskiej produkcyi i strumyki, mające swe prawo do bytu w odwiecznej przeszłości. Lecz gdy zerwą się brzegi strumyka, a woda ich wtargnie dziko w nieswoją dziedzinę i utrudni żeglugę po wielkim strumieniu, to bierzmy się ze spokojem i godnością jaka „panom stworzenia“ przystoi do naprawy złego, nie ciskajmy piorunowych gróźb, bo to się nie każdemu podoba, a już wcale ze strony zwierzyny i myśliwych mogą nas dolecieć słowa rzymskiego filozofa:

Quid mirum quod ego non omnibus placeo?
Forsitan et mihi non omnes placent.

(Seneca).

* * *

Dopóki ogromne lasy okrywały powierzchnię krajów Europy, dopóki panował w nich niczem nie zakłócony płodozmian przyrody, warunkujący się nie tyle peryodycznemi zmianami klimatu, ile właściwością samej wegetacyi — dopóki bardzo szczupłe tylko pretensye stawiała ludzkość względem lasów, a pretensye te zaspokoić mogły brzegi nieprzebytych puszcz, o których głębi tylko „wieść lub bajka“ mogły coś powiedzieć — dopóki wreszcie innego rodzaju stosunki społeczno-rolnicze panowały — dopóty nieznaną też były rzeczą wrogie wobec siebie stanowiska pojedynczych gałęzi produkcyi ziemiańskiej, stawiających do ziemi coraz większe wymagania. Dopiero gdy jako zupełnie nowe widmo, o którym dotychczas nikt nie słyszał, pojawiła się obawa opału, w ślad zatem zakiełkowała myśl sztucznej ochrony i kultury lasów, a późniejsze reformy agrarne i wystąpienie obojętnych dotychczas mas narodu na widownię polityczną sprowadziły nowy zatarg pomiędzy uprawą rolną a łowiectwem, obracającem się jeszcze zawsze w ramach sportu klas uprzywilejowanych.

W pamięci i tradycyi ludu żyły zanadto żywo praktyki barbarzyńskie wieków ubiegłych, tak, iż po wielkiej już reformie społecznej spoglądały masy tylko z niedowierzaniem na wszystko, co miało jaką taką łączność z łowiectwem. I nie mógł w szerokich tych kołach urastać przyjaciel łowiectwa nawet w chwili, gdy wstąpiło ono już na nowe tory, stawszy się gałęzią produkcyi ziemiańskiej.

Kwestya szkód wyrządzonych w ziemiopłodach przez zwierzynę — to drugie widmo, długi czas wstydliwe, skromne i bojaźliwe, coraz natarczywsze jednak po uznaniu ogólnych praw człowieka i urastające w niektórych krajach w monstrum według przysłowia *l'appetit vient en mangent.* Zwierz, uszczuplony w swych naturalnych siedliskach, spędzany i niepokojony na polach, cofnął się w pozostałe lasy; lecz tu już wrzała na zachodzie praca reformatorska, tu już nastąpiła niejedna zmiana w naturze leśnej. To co w lasach dawniejszych nie raziło nikogo, w lasach uszczuplonych i poddanych kulturze jaskrawo uderzyło w oczy pierwszych pionierów leśnictwa i przybyło nowe widmo: uszkodzenia kultur i zapustów przez zwierzynę.

Wspomnianą walkę sprzecznych prądów przygotowywały już dawne wieki; już podczas reformacyi pojawiła się w Niemczech obawa opału, idąca w ślad za bezmyślnem niszczeniem lasów, przybierającem ogromne rozmiary niemal w całej Europie, a w następstwie pojawił się cały szereg ograniczeń własności prywatnej w ciągu 17 i 18 wieku.

Że i u nas nie działo się inaczej, mamy na to liczne świadectwa, a do najpopularniejszych należą ustępy w „Satyrze“ Kochanowskiego i we „Flisie“ Klonowicza. W obec wszechwładnej u nas oligarchii, nie można się było spodziewać wielkich ograniczeń własności prywatnej przez państwo, a ustawa ekonomiczna z r. 1557 i inne, przepisawszy jakiś porządek i podział lasów koronnych, (system bowiem powierzchniowy gospodarki leśnej już był podówczas w Europie znany), nie mogła zbyt wiele dobrego zdziałać. Jedynie wrodzonej żyłce myśliwskiej monarchów, magnatów i możnej szlachty zawdzięczyć należy utrzymanie aż do ostatnich chwil politycznego bytu narodu wspaniałych kompleksów leśnych, jako siedlisk grubego zwierza.

Mimo, iż nić prawnej opieki nad lasami sięga u nas bardzo dawnych czasów, bo już statut Wiślicki w r. 1347 wyznaczył kary za rozmaite naruszenia własności leśnej — mimo, iż statut Warcki o tyle drobiazgowo zajął się w roku 1423 sprawą lasów, iż w rozdziałach XX. XXII. pomyślano o ochronie cisów — mimo iż sejmy w latach 1601, 1607, 1647, 1678, 1680, 1764, 1791 zajmując się roztrząsaniem rozmaitych kwestyi leśnych brały w opiekę lasy koronne i prywatne, określając zarazem stosunek wycinania: — wszystkie te dobre w obradach i na papierze chęci nie mogły jakoś w praktyce się ustalić. Duch ustaw dawnych w ogóle, a w szczególności ustaw leśnych, skąd przebijało się przeważnie tylko ogromne poszanowanie własności prywatnej w obec wcale ograniczonych pojęć o szerszem znaczeniu

lasów, nie mógł wywrzeć dobrego wpływu, a przy wysuwaniu na pierwszy plan indywidualności, w obec nieszczęsnych stosunków politycznych, które tak kieszeń korony jakoteż obywatelstwa wypróżniały, siekiera coraz bardziej rozprzestrzeniała swe rządy w głębi puszcz i lasów, i pod dewizą *„pro bono publico“* czerpano nadmiernie w tej skarbnicy wieków. Tomy całe już spisano, a jeszcze wiele spisać by się dało o rozmaitych powodach zatraty lasów w Europie. Znaczna część padła ofiarą bezmyślności zupełnie niepotrzebnie, gotując całym połaciom krajów przyszłość groźną i skutki, jakich i my jeszcze świadkami jesteśmy, wiele zaś lasów ustąpić musiało miejsca innemu użytkowaniu ziemi, pod wpływem konieczności i postępującej kultury.

Nie miejsce zastanawiać się tutaj bliżej nad tym przedmiotem; obchodzi nas głównie pewnik, iż chwila reformy zastała już lasy w bardzo uszczuplonych rozmiarach, w których tem dobitniej znaczyć się mogła ujemna dla tychże rola zwierzostanów, rozmnożonych na zachodzie nie pod ochroną ustaw, dobro ogólne mających na względzie, ale pod egoistyczną i w barbarzyński sposób wykonywaną ochroną klas wyższych, amatorstwem myśliwskiem rozgrzanych.

Na całym niemal obszarze Europy były w użyciu nazbyt ostre prawa skierowane przeciw nieuprawnionym myśliwym, jednakże jak we wielu kwestyach społecznych, tak i na tem polu wyprzedziła Polska pod względem pojęć humanitarnych, inne kraje Europy. Mamy dowody tego w nowszych edycyach Statutu litewskiego, podczas gdy drakońskie prawa stosowano jeszcze we Francyi za Ludwika XIV, a w Niemczech jeszcze podczas wojny trzydziestoletniej. Niedziw zatem, iż teroryzm, jaki szerzyli w tych krajach wszechpotężni właściciele łowiectwa, pomimo rozmaitych dla rozmnoży zwierza niesprzyjających warunków, umożebnił w pewnych miejscowościach nadzwyczajną rozmnożę zwierzostanów.

W Saksonii, właśnie podczas wojny trzydziestoletniej, doszła zwierzyna takiej rozmnoży pod rządami elektora Jana Jerzego I., iż stała się prawdziwą plagą kraju, a słabe wyobrażenie o ilości zwierza dać może skorowidz ubitej przez tego pana zwierzyny podczas jego 44-letnich rządów w kniejach nieograniczonych. Skorowidz ten niechaj służy za jeden z wielu przykładów, gdyż niepodobna naprowadzać niezliczonej ilości faktów podobnych, zapisanych w dziejach ówczesnego łowiectwa. Elektor wspomniany ubił 15.740 jeleni, 15.900 łań, 3.781 cieląt, 2.171 kozłów, 8.498 sarn, 820 koząt, 1.040 danieli, 31.902 dzików, 238 niedźwiedzi, 3.872 wilków, 217 rysiów, 1.915 lisów, 149 żbików, 37 bobrów i 81 wyder (*Johannes Tänzers der Diana hohe und niedere Jagdgeheimnisse. Kopenhagen 1682*).

Ledwo umilkła cokolwiek wrzawa strasznej wojny trzydziestoletnej, ledwo kraj zdołał się opamiętać wśród strasznych klęsk, jakie nań spadły, gdy setki miast leżały w gruzach pożogi a tysiące włości zginęło z powierzchni ziemi, w obec niezmiernego zapotrzebowania budulcu, zakołatało raz jeszcze straszne widmo, zawołało po raz ostatni głosem tak groźnym, iż w kołach szerokich poczęto myśleć o koniecznej i nagłej reformie gospodarki leśnej. W smutnych warunkach zostawały podówczas lasy niemieckie w ogóle. Każdy postęp i czynność melioracyjną paraliżowała tam z jednej strony wszechwładna zwierzchność korony (*Forsthoheit*), odbierając lasom charakter własności prywatnej, z drugiej zaś resztki dawnych urządzeń gminnych germańskich, w postaci najrozmaitszych serwitutów, wolnych wrębów, prawa pasania i wspólnictwa w innych użytkach leśnych. Być może, iż owej zwierzchności korony, której się chętnie poddawali prywatni właściciele lasów, widząc w tem jedyny ratunek, zawdzięczyć należy, iż lasy w ogóle nie znikały z powierzchni ziemi niemieckiej pod siekierą i dorywczą gospodarką owych gmin, uprawnionych do wspólnictwa w użytkach, tem bardziej, że się obudził wszechstronny popyt za budulcem i opałem, dosięgnąwszy szczytu swego około r. 1700. Zarządzenia zwierzchności koronnej wobec takich stosunków i wobec nieistnienia istotnej nauki leśnictwa, nie mogły mieć innego celu, jak tylko zachowanie i ochronę tego, co już było i coby mogło do reszty plądrowniczemu wyzyskowi uledz.

Stan taki jednak długo trwać nie mógł, i pod presyą stosunków pojawiły się już w pierwszej połowie 18 wieku prace piśmienne o reformie gospodarki leśnej. Ale któż tu miał wystąpić do czynu? Jedynie ci, którzy zajęciem swem najbliżej lasu stali, t. j. myśliwi. Oni czuli się powołani do podjęcia pierwszych reform w tej dziedzinie, która dotąd zwracała ich uwagę li tylko jako siedlisko zwierza.*) Prace myśliwych Döbla, Beckmana, Büchtinga przygotowały grunt do poczęcia systematycznej pracy reformatorskiej w lasach, (*Döbel. Eröffnete Jägerpraktika 1746. Beckman. Pflegliche Anweisung zur Forstwissenschaft*). I tak ze skromnego źródełka tak zwanego ówcześnie „rzemiosła leśnego“ (*Forsthandwerk)* począł wnet płynąć coraz szerszym korytem potok wiedzy i nauki leśnictwa.

Nie mogę tu kreślić szczegółowych dziejów postępu leśnictwa, jednak ponieważ sprawa zwierzostanów tak ściśle łączyła się zawsze z tem, co się w lesie działo, dotknąć tu muszę rozwoju praktyki bodaj w tych miejsach, które dla zrozumienia zatargów powstałych w lesie pomiędzy gospodarstwem leśnem a łowiectwem są konieczne. Jeżeli zaś zajmują mnie tu głównie stosunki leśnictwa niemieckiego, to z przyczyny, iż naród ten myślicieli, idealistów a przytem skrzętnych pracowników, pozostał i na tem polu wierny swym tradycyom, i z łona też jego wyszły zarówno pierwsze i wielkie reformy jak i spaczone ideałami i doktryneryą pomysły, stające się zarazem wzorami i przestrogą dla rozwoju leśnictwa naszego.

Wśród panujących ówcześnie stosunków i żywionych obaw, gdy o roli lasów w całości przyrody nie miano jeszcze jasnych pojęć, gdy wiele jeszcze, dziś na znaczną skalę eksploatowanych pokładów węgla, leżało w spokojnem ukryciu, przemysł zaś żelazny, bardzo jeszcze nieznacznie rozwinięty, nie dawał widoków znalezienia w żelazie materyału budowlanego, system gospodarstwa leśnego, jaki się w tych stosunkach wytwarzał, nie mógł być innym, jak tylko konserwatywnym, czyli zapasowym, a staranie gospodarstwa skierowane ku trwałemu zapobieżeniu brakom za pomocą jednostajnej i trwałej produkcyi. Wytworzył się tedy system użytkowania lasów według najwyższego przyrostu przeciętnego ze stałym etatem rocznym masy drzewa. Chwilę wyrębu oznaczał wiek najwyższego przyrostu przeciętnego, a chwila ta różnić się miała stosownie do przyrodniczych warunków lasu. Wprowadzenie zrębów czystych w miejsce dotychczasowego plądrowniczego wyzysku, polegającego na wyrębywaniu tego, czego właśnie potrzeba, i w miejscu najdogodniejszem, bez innych zresztą względów, stało się już ogromnej doniosłości reformą, oddziaływającą również i na stosunek łowiectwa. Czy następne odnowienie lasu przedsiębrano za pomocą siewu z ręki, czy też za pomocą samosiewu lub kultury sadzonkami, w każdym razie odkryły się wśród lasów ogromne powierzchnie zapustów lub kultur, na których ześrodkowywały się wyrządzane przez zwierzynę

*) Pierwsze dzieło H. K. v. Carlowitz traktujące o leśnictwie wydrukowane zostało w r. 1713.

szkody, zwracając tem bardziej na siebie uwagę ówczesnych leśników.

U schyłku 18-go i na początku 19-go stulecia ogromne zmiany polityczne, społeczne i ekonomiczne wywarły i na gospodarstwo lasowe swój wpływ. Z pojęciem dawnego państwa runęło i dawne formułkowe leśnictwo, a las, stawszy się przedmiotem wolnej własności gruntowej, doświadczał najrozmaitszych eksperymentów, jakie sprowadzała spekulacya niezależnych prywatnych właścicieli, budujących dalej na gruncie, który przygotowała druga połowa 18-go wieku.

Po inicyatywie, wyszłej z łona wspomnianych myśliwych, ujęli ster ci, którzy najdalej od praktycznego stali zawodu, a przeważna ilość dzieł o leśnictwie jaka się pojawiła w drugiej połowie 18-go wieku pochodziła od kameralistów. Reforma była rzeczą konieczną, jeżeli leśnictwo, w sposób rzemieślniczy traktowane. nie miało utonąć w sztywnych i bezwzględnych formułkach scholastyki kameralistycznej. Lecz wśród grożącego niebezpieczeństwa, zawitała wnet pomoc na polu wybijającej się z ram rzemiosła nauki nowej, a jakkolwiek w czasie wielkich reformatorów Sarauwa, G. L. Hartiga i H. Cotty leśnictwo nie wyswobodziło się z ram szkolnych reguł, bo zbyt młodziutką była jeszcze cała wiedza przyrodnicza, to przecież położyli oni podstawy do wielkiego dzieła. Jakoż następują prace Pfeila, Hundeshagena, Th. Hartiga i wielu innych, którzy opierając się na gruncie ścisłych praw przyrodniczych i lokalnych stosunków, nadali dalszemu rozwojowi nauki samodzielny kierunek, obalając tem samem rządy dawnych reguł scholastycznych (1830).

Pokrótce naszkicowany tu przebieg rzeczy naprowadza już samo przez się na myśl, iż nowa nauka nieraz musiała zboczyć z drogi, zabłąkać się na manowce, że mając tylko jeden cel na oku, zwichnąć musiała nieraz równowagę w przyrodzie, że wystąpić tu musiały ni przewidziane objawy, których w lasach w sposób prymitywny eksploatowanych, wcale dojrzeć nie można było. I niestety tak było. W skutek pierwotnych reform, wprowadzających dotąd niesłychane dla zwierzostanów zmiany, gdy w dodatku weszła jeszcze w życie hodowla litych drzewostanów na wielkich obszarach, z zamiarem doprowadzenia w ten sposób wydatności lasu do najwyższego szczebla doskonałości, zawrzała wśród lasu pomiędzy reformatorami a zwierzyną najżywsza walka, a najpoważniejsze skargi na szkody przez zwierzostan wyrządzane pochodziły właśnie od tych, którzy w innym kierunku na polu teoryi najbardziej byli czynni. Wśród ogromu zmian w stosunkach socyalno-ekonomicznych, zniesienia prawa polowania na obcym gruncie w r. 1798 we Francyi, w r. 1848 w Prusiech, w 1849 w Austryi (patent 7 marca) poddaństwa w r. 1781 w Czechach w r. 1782 w Austryi i w krajach Alpejskich, 1809 w Prusiech, 1817 w Wirtembergii, 1818 w Bawaryi — przyłączyła się również i reformatorska praca w lasach do zaostrzenia walki. Zwierzyna znalazła się w tak niesprzyjających warunkach, tak zacieśniło się jej pole, iż zdawało się, że dla „brutalnego rzemiosła“ z czasów średniowiecznych wybije wnet godzina zagłady. Wśród otwartych pól i tak ścigał zwierza nienawistny wzrok włościanina, w lasach padał on ofiarą młodocianego dzieła pracy kulturnej, ze stron wszystkich słychać było głosy oburzenia, i w obec nierównych szans, egzystencya zwierzyny zdawała się być wprost zagrożoną.

Na zegarze jednak prawdziwej kultury i postępu nie odezwał się jeszcze na seryo dzwon alarmu, nawet wtenczas, gdy najwięksi swego czasu technicy leśni, a między innymi H. Cotta wyraźnie się odezwał, iż w obec sarn w lesie kultura dębiny jest niepodobną, i gdy inni twierdzili to samo o kulturach drzew innych, stawiając kwestyę zwierzostanów na ostrzu miecza.

Wśród tych wszechstronnych wpływów nieprzyjaźnych, ustawy chroniły zwierzynę od zagłady, pomimo, iż była ona według zapatrywania większości fachowej li tylko z konieczności cierpianym mieszkańcem knieі.

Nie można twierdzić, aby narzekania ludzi zawodu nie były słusznemi, jednak leśnictwo niemieckie, w którym bruździła zarazem biuralistyka, chcąca od zielonego stolika dyktować prawidła gospodarstwu, wytworzyła i na tem specyalnie nas obchodzącem polu taki chór głosów fałszywych, iż rzecz zamiast się wyjaśniać, jeszcze się bardziej gmatwała w chaosie jednostronnych spekulacyj, i mało kto potrafił ocenić i określić doniosłość sprawy.

„Żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa
Zakończyła się nagłym wybuchem hałasu.
Jak strzelcy, gdy na lisa zaciągną do lasu,
Słychać gdzieniegdzie trzask drzew, strzał i psiarni granie,
A w tem dojeżdżacz dzika ruszył niespodzianie,
Dał znak i wrzask powstaje w strzelców i psów tłuszczy“ —

i lis uchodzi z całą skórą, a wszyscy swą uwagę zwrócili na dzika -- tak i w tym wypadku pojawił się w lasach dzik, ale w postaci tłumnego wystąpienia szkodliwych owadów, mając ku temu wielu błędami przygotowany teren, gdyż wielkie powierzchnie pokryły się litemi kulturami, i dawne pustki porosły jednowiekowemi drzewami, podczas gdy koszlawe i dupławe starodrzewy z dawnych czasów plądrowniczego wyzysku, te naturalne siedziby całych pokoleń ptactwa, padły pod siekierą postępu.

Gdy zatem wielka część leśników niemieckich zapragnęła w lesie ujrzeć praktyczną demonstracyę niewzruszonych praw matematyki, zamknąwszy się w swych racyach, jak w niezdobytej rzekomo fortecy — nie przewidział z nich żaden, że na tej drodze dojdą wkrótce do rozczarowań w skutek wypuszczenia z rachunku szczególnych czynników, jakiemi przyroda rozporządza.

W lasach germańskich, w których się ongi złamał oręż rzymskich legionów, rozległ się teraz już nie straszny „baritus“ ich mieszkańców, lecz spisek niebezpieczny na nowe dzieło leśników uknuli geniusze dawnych puszcz i borów i wielkie dzieła reformy padły w znacznej części pod ciosami ich zemsty. Klęska owadzia, wprawdzie nie nowa ale nigdy do takich rozmiarów nie dochodząca, wystąpiła na pierwszy plan, a czego ten straszny wróg nie zniszczył, doniszczać musiał człowiek, przywoławszy ku pomocy najstraszniejszy z żywiołów — ogień. Złowrogim pobrzękiem odezwały się zerwane ogniwa łańcucha przyrody leśnej w obec tego *autodafé*, w obec tego upokarzającego, bo na własne kombinacye wydanego wyroku.

Niezliczona zgraja drobnych zjadaczy drzewa nie była bynajmniej czemś zupełnie nowym. Już na kopalnych drzewach, sięgających epok odległych, spotykamy ślady istnienia tych owadów, a szczęki ich znaczyły już swą miłą obecność na pniach epoki trzeciorzędnej. Ówczesne już lasy zamieszkiwały wspaniałe kózki, trogosity itp. Wiadomości historyczne o szkodach owadzich dochodzą 16-go stulecia, ale były to sporadycznie występujące objawy, przeciwko którym sama przyroda jakoś sobie radziła. Na schyłku 18-go wieku, właśnie w chwili największych reform w lasach, klęska owadzia wystąpiła jednak w niebywałych rozmiarach i odtąd stoi na porządku dziennym w dziejach leśnictwa. Niemal rok każdy przynosił jakąś nowość entomologiczną, a już 6-te dziesięciolecie naszego wieku było świadkiem kulminacyjnego pun-

ktu zniszczenia. Kilka lat posuchy letniej a w dodatku tłumne wystąpienie owadów, ułatwiające szkody okiściowe i wiatrołomowe, sprowadziły szczególnie w litych drzewostanach przerażające spustoszenia, a gospodarka prządki mniszki (*Liparis monacha*) przeniosła się daleko na wschód, aż w nasze bory Litwy i Mazowsza, niszcząc tam sosnowe i świerkowe bory na powierzchni 32.000 morgów. Gałęzie uginały się pod nawałą owadów a ziemię okrył na kilka cali ich pomiot. Równocześnie prowadziły dzieło zniszczenia inne owady, o których znaczeniu właściwem nie miano dotychczas należytego pojęcia, a których uszkodzenia dotknęły miliony morgów w całych Niemczech, a nawet w Rosyi.

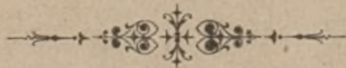
Straszny ten objaw zwrócił na siebie uwagę całego świata fachowego, a wykazując kroki dotychczasowego gospodarstwa leśnego podał zarazem i broń w rękę człowieka, broń jakkolwiek słabą i kosztowną, zdolną jednak przy ogólnem jej zastosowaniu poskromić zanadto wybujałe wybryki natury.

Gdy z paniki owadziej ochłonął nieco świat, gdy osiwiały w zawodzie leśnik kroczył po cmentarzu drzew wspólnie ze zgłodniałym zwierzem kniei, ujrzał, iż rzeczywiste niebezpieczeństwo, o którem warto głośno mówić, grozi lasom nie od zwierzyny lecz ze strony owej niepozornej 6-cio nogiej hordy, kryjącej się w ziemi i we wszelkich niedojrzanych oku ludzkiemu szczelinach. I zwróciły się owe, niegdyś jak wieść niesie, miłość rodzące oczy sarny lub łani na gospodarza lasu, a pod wpływem tego może magnetycznego działania, odezwało się „dawne serca bicie“ i z ust wielkiego leśnika, wielkiego myśliwego wyszły wiekopomne słowa: „Bez łowiectwa nie może się obejść prawdziwy leśnik“. *(Freiherr v. Berg. dyr. akad. leśnej w Tharandzie w Denglers M. J. 1865).* I słowa te w biegu lat powtórzone zostały wiele razy przez licznych znawców i nieprzesądnych adeptów zawodu.

Tak jest. Zdanie, iż nie możemy sobie życzyć ze względu na dobro lasów naszych nadzwyczaj silnego zwierzostanu, lecz że nie odpowiada również życzeniom naszym knieja pusta, uderza w sedno prawdy i jest jeszcze po dziś dzień ostatniem słowem nieuprzedzonych kół fachowych. Należy do zadań przyszłości określenie bliższe ogólnikowego tego wyrażenia i ujęcie w pewien system stosunku łowiectwa do kultury lasu, lecz już dziś w obec etycznego i ekonomicznego znaczenia łowiectwa potępić należy drukowane jeszcze podziś dzień opinie, iż przeciw uszkodzeniu lasów przez zwierzynę nie masz innego środka, jak: *Abschuss des Wildes* (Mayer's Convers. Lexik. Tom 15 str. 563).

Być może, iż wyrok na zwierzynę, jaki wydali wielcy leśnicy i myśliwi już w 7-ym dziesięcioleciu naszego wieku, nie byłby tyle łagodnym, gdyby idea pierwotnego konserwatyzmu czasów tych dotrwała, gdyby w lesie widziano zawsze jedyne źródło opału i budulcu; nieprzyjaciela tych monopolów przyrody osądzono by daleko srożej.

Jednak idea pierwotna bladła coraz bardziej w miarę, gdy z wnętrzności ziemi zaczęto wydobywać czarny surogat opału, i gdy ten niezrównanej intenzywności środek opałowy podniósł do olbrzymich rozmiarów przemysł żelazny. Węgiel kopalny jako regulator nowoczesnego przemysłu, wstrząsnął więc do głębi wyobrażenia o znaczeniu lasu; krocie kilofów uderza o czarne dyamenty, a dzień i noc pracujące potwory parowe wydobywają na powierzchnię ukryte dotąd skarby ziemi. (C. d. n.)



ZNALAZŁ SWÓJ SWEGO.

(Ciąg dalszy.)

Opierając się na własnem doświadczeniu, podać mogę tylko dwa sposoby polowania na dropie. Pierwszy jest taki: W licznem towarzystwie myśliwych okrąża się dropie w około. Po zamknięciu koła wszyscy myśliwi na dany znak ruszają z miejsca, w kierunku do dropi. Oczywiście, iż koło takie staje się coraz mniejsze, im bardziej myśliwi zbliżą się do dropi. Jeżeli koło dobrze jest zamknięte, nie ulega wątpliwości, że dropie strzelane być muszą, jeżeli jednak koło nie dość zamknięte, dropie uderzają tam, gdzie największa luka. Strzelać powinno się w koło, t. j. nim dropie miną myśliwych, bo wtedy jest jeszcze ta pewność, że dropie uderzą w stronę przeciwną i znowu będą strzelane.

Objeżdżając dropie w celu zamknięcia koła, potrzeba jak najdalej, we dwa lub trzy wozy, na których siedzą myśliwi, objeżdżać. W przyzwoitej odległości, w miarę do ilości myśliwych, gubi się ich po jednemu z wozu, myśliwy jednak nie powinien stać tylko leżeć, dopóki koło nie zamknięte. W braku myśliwych można pomódz chłopcami wiejskimi, a w takim razie należy przeplatać, stawiając jednego lub dwóch chłopców a potem jednego myśliwego itd.

Drugi, najpiękniejszy sposób polowania na dropie, który już w powyższem opowiadaniu zdaje mi się dostatecznie omówiłem, jest we dwójkę, tak, jak to my obaj z ks. Kanonikiem praktykowali. Powtarzam tylko, że potrzeba się wpierw upewnić, w którą stronę spłoszone dropie najchętniej odlatują. Jest to rzecz bardzo ważna, gdyż dropie lecą zawsze ku miejscu bezpiecznemu, które dobrze znają i skąd mają daleki przegląd. Zajechane z przeciwnej strony, lecą kawałek naprzód, lecz potem ruszają ku znanemu im stanowisku. Jeżeli dropie są tak ostrożne, że się do siebie na pierwszy strzał z sztućca zbliżyć nie pozwalają, to w takim razie będąc obznajomionymi, którędy polecą, ukryć się należy w przyzwoitem oddaleniu i kazać dropie spędzić. Dobre ukrycie stanowią półkopki zboża, lub kukurudza; w braku tychże kładzie się myśliwy na ziemię i podnosi z ziemi dopiero, gdy lecące dropie zbliżą się jak najbardziej. Podniósłszy się zawcześnie, z pewnością do strzału nie przyjdzie, bo dropie zaraz kierunek zmienią. Jak się już rzekło, nie należy nigdy strzelać śrutem tylko kulami, i nie spieszyć się z strzałem, bo pewniejszym jest strzał kulą choćby pięćdziesiąt kroków dalszy, a wytrzymany, niżeli bliski a pospieszny.

Starzy myśliwi podawali różne sposoby polowania, na dropie, jak np. podjeżdżanie dropi wozem, osłoniętym po bokach słomą, za którą siedzą ukryci myśliwi. W słomie tej

porobione są luki dla powożącego końmi, jakoteż z boków dla myśliwych, przez które to otwory, zbliżywszy się na strzał, strzelają.

Robiono także z płótna manekin konia, którego przednie i tylne nogi były nogami ukrytych do połowy dwóch myśliwych. Głowa i ogon były ruchome, a myśliwy w przodzie poruszał nią nachylając do ziemi, jakgdyby się koń pasł, myśliwy zaś w tyle postępujący wymachiwał ogonem, jak to koń robi oganiając muchy. W ten sposób zbliżali się do dropi, patrząc przez małe otwory umyślnie w manekinie końskim zrobione, przyczem trzeba było dobrze oceniać odległość, gdyż patrzącemu przez mały otwór, przestrzeń o wiele wydaje się krótszą. Boć nie mogło być przyjemnem wyskorupić się z manekina i ujrzeć, że dropie zamiast na 50 na przeszło sto kroków wzlatują.

Polowano także w nocy w ten sposób: Dopilnowawszy dropi z wieczora, gdzie na noc zasiadają i ostanowiwszy je z wszelką pewnością, rozwożono z nastaniem nocy słomę w kilka stertek, i zapalano ją, a z przeciwnej strony podchodzono dropie ostrożnie. Dropie w takim razie zwracają całą swą uwagę na ogień i pozwalają myśliwym zbliżyć się na bliski strzał do siebie. Podchodzący myśliwy kieruje się z razu to w tę to w ową stronę, a zoczywszy dropie, ku czemu ma być naprzeciw palący się ogień pomocnym, idzie już wprost na nie. Jeszcze i to mu sprzyja, że dropie, widząc ogień, zwykle się skupiają tak, że na strzał można więcej niż jednego zabić.

Od nocujących w polu chłopów słyszałem, że dropie w nocy dadzą się bardzo blisko zejść, uchodzą długo pieszo, a gdy się na nie naciera, dopiero na rzut kamienia wzlatują.

Żadnego z tych sposobów nie praktykowałem, nie ulega jednak wątpliwości, że swego czasu starzy nasi praojcowie myśliwi sposobów tych używali, a dziś przechowała się tradycya owych polowań.

O jednym jeszcze sposobie, który nie mało mię ubawił, obszerniej tu pomówię.

Z końcem miesiąca września wybraliśmy się znów z ks. Kanonikiem na dropie. Dzień był pogodny i mimo pory jesiennej bardzo gorący. Zostawiliśmy zgrzane konie w cieniu mostu przy drodze i źródle, a sami poszliśmy w pole. Okrążywszy sporą przestrzeń około godziny pierwszej wróciliśmy do wozu. Czas było posilić się. Dobyliśmy koszyk z przekąską i rozlokowaliśmy się na trawniku obok źródła. Gościńcem przejeżdżało fur kilka a każdy jadący zwracał na nas uwagę, najbardziej zaś pewien jegomość w czapce z bączkiem rządowym.

— Kto to jechał? — zagadnął ks. Kanonik.

— Zdaje mi się, że komisarz straży skarbowej — odpowiedziałem — a może i myśliwy, bo bardzo się nam przypatrywał.

— Komisarz? — zagadnął ks. Kanonik. — Jedz pan i pij dereniak, opowiem panu zabawną historyę.

— Proszę mówić, ja się nie zadławię ani zachlisnę.

— No, no, będziemy widzieli! Mamy dość czasu, trzeba poleżeć z godzinę, po bardzo gorąco.

Gdyśmy się już posilili i zapalili cygara, tak zaczął ks. Kanonik:

Sporo lat temu. Było to po roku 1848-ym. Rozkwaterowano u nas pułk huzarów. Oficerowie byli bardzo porządni ludziska, sami Węgrzy, znałem ich wszystkich. Przyzwyczajone to było do życia wielkomiastowego, a raptem znaleźli się w małej mieścinie. Ani kasyna, ani traktyerni nawet — nudy wieczne. To też urozmaicaliśmy sobie jak mogli monotonnne życie, to wycieczką, to łapaniem ryb i raków na wędkę. A byli między nimi tak zamiłowani, że nieraz i po kilka godzin potrafili z wędką na jednem miejscu przesiedzieć. Czasem urządzaliśmy strzelanie do tarczy kulami ze sztućców, śrutem do jaj rzucanych w górę, albo też do kółka. O tem kółku muszę pana obszerniej objaśnić. Kto chce wprawić się w strzelaniu, niema lepszego sposobu nad takie kółko z deski dębowej, na cal do półtora cala grubej o średnicy 10-calowej. Kółko takie, silnie rzucone po ziemi, nie toczy się równo tylko skacze, zakreślając to większe to mniejsze łuki w powietrzu, i dlatego strzał do niego jest trudny. Tacy, którzy nieźle strzelali z początku, ani daj Boże trafić do podskakującego kółka. Dopiero po dłuższem strzelaniu doprowadzali do perfekcyi. A trzeba panu wiedzieć, że nie wolno było strzelić jak się komu podobało. Raz zapowiedziano, że strzela się wtenczas, kiedy kółko zakreśla łuk w powietrzu, to znowu jak padnie na ziemię. Za każdym trafionym strzałem śruty w kółku nalepiało się kawałeczkiem nagumowanego papieru.

Takeśmy się zabawiali. Wreszcie rozjechali się żołnierzyska, ja sam zostałem i trudno się było do tej ciszy przyzwyczaić. Spędzałem tedy dnie z wędką ponad wodą, zabijając wolny czas. Są pory w roku, w których ryby bardzo na wędkę idą, kiedy indziej zaś ani jednej złapać nie można. Otóż było to w takiej porze niekorzystnej. Zarzuciłem wędkę to tu, to tam, aż mnie już ręka zbolała i nadaremnie wędka ani drgnęła, jakby ryb w rzece nie było. Zwinąłem tedy wędkę, zamierzając wrócić do domu, gdy wtem zaszedł mi drogę komisarz ze strażnikiem. A że to była epoka, w której nas zasypywano we wszystkich urzędach Niemcami, tak też i przy straży skarbowej, począwszy od respicyenta, wyższe stanowiska obsadzano prawie samymi Niemcami lub zniemczonymi Czechami, podczas gdy nasi ludziska zajmywali najniższe stanowiska. Otóż i ten komisarz był Niemcem zakazanym. Słyszałem o nim, ale nic pochlebnego. Dokuczał ludziom, sadząc się na psikusy w obec każdego, z kim miał do czynienia. Przywitał mnie swojem „Guten Abend Hochwürden“ przedstawił mi się jako komisarz Liebisch, no i zawiązała się pogadanka. Pyta mnie, czy dużo ryb nałapałem i wreszcie prosi, bym pożyczył wędki, że on szczęścia spróbuje. Oczywista nie mogłem mu odmówić. Zarzucił pare razy wędką i nic nie złapał. „Szkoda czasu“ — mówi — „będę łapał inne ryby, lepsze od tych, które złapać trudno“. Wskazał przytem na żaby, których masa wygrzewała się do słońca na brzegu rzeki. Dobył zkądeś kawałeczek sukna czerwonego i jął łapać. Biedne żabiska, jedna za drugą skacząc łokieć wysoko do nastawionego sukna, chwytały je w powietrzu wraz z haczkiem na którem zawisały. Wtedy szwabisko dobył noża, strażnikowi kazał rozścielić chustę i każdą złapaną żabę zaraz operował obcinając tylne uda. Biedne żaby z obciętem tyłem, żywe, gramoliły się po murawie. Nie mogłem patrzeć na tę gorzej niż wstrętną operacyę szwaba, lecz nie wypadało mi odbierać mu wędkę. A wspomnę jeszcze, że wędkę tę zostawił mi oficer od huzarów, który znakomicie umiał je urządzać. Cała wędka była skręcona z dość krótkiego białego włosienia końskiego i nigdzie nie była związaną. Nie mogąc patrzeć na nieludzkie płatanie biednych żab, oddaliłem się od paskudnego Niemca o kilkadziesiąt kroków. Ten tymczasem, nagromadziwszy pełną chustkę żabich udek, zadowolony z połowu, oddał mi wędkę i towarzyszył mi aż do domu.

Od tej pory zawiązała się znajomość między nami. Niemczysko odwidzał mnie często, a dowiedziawszy się, że lubię polować, prawił mi nieraz niestworzone rzeczy o po-

lowaniach i swojem mistrzowskiem strzelaniu. Myślałem nieraz: Spróbowałbym cię na „kółko“, ale i tak wiem, że kłamiesz, więc dałem temu pokój.

Często gęsto jeździł ze strzelbą, a dostawszy od kogo zająca, wstępywał ze strzelbą i zającem do mnie, bając mi o sztucznym strzale, nigdy bliżej jak na 150 kroków. Ciągał się wiecznie po gorzelniach, więc jadąc spotykał często dropie, które go bardzo intrygowały, bo je pierwszy raz widział. Ciągle też wybierał się zapolować na dropie i faktycznie jeździł i chodził za niemi, ale nadaremnie. „Die Bestien sind zu scheu!“ mawiał kręcąc głową, ale nie dawał za wygrane.

Razu jednego przychodzi do mnie i mówi, że już ma sposób każdego dropia podejść i zabić, a przyrządy do tego polowania kazał już zrobić stolarzowi. Jutro będą gotowe, to mi je sprezentuje. Nazajutrz przychodzi do mnie i przynosi z sobą dwie kule, takie same jak kalecy używają, tylko krótsze. Wypatrzyłem się na szwaba i pytam: Jak z tem się obchodzić? Wytłumaczył mi, że kule te służyć mają do tego, by na raczkach podchodzić dropie. Zobaczywszy dropie, za pomocą tych tych kul podchodzi się je tyłem, patrząc pomiędzy nogi, by nie zmienić kierunku. Omal nie udusiłem się od śmiechu, jednak nie zbijałem szwaba w jego twierdzeniu.

Niemiec zaraz nazajutrz wybierał się na dropie. Życzyłem mu szczęścia i prosiłem, by mi dropia zabitego pokazał. Mijały dnie za dniem, Niemiec nie pokazuje się z dropiem i nie prędko się pojawił, a zapytany, ile dropi zabił, odpowiedział, że nie może sposobu tego praktykować, bo jest zanadto otyły i krew bije mu do głowy, więc dalej jak 50 kroków iść schylony nie może. Widział jednak w tych dniach zabitego w ten sposób dropia, doradziwszy swych kul jakiemuś strzelcowi. Roześmiałem się serdecznie, domyśliwszy się, że właśnie ów strzelec musiał wyprowadzić szwaba w pole, doradzając mu kule. Po nieudałych na dropie polowaniach nie długo Niemiec u nas popasał. Jak wspomniałem płatał wszędzie i wszystkim psikusy, to też był ogólnie znienawidzony. Jakim mieczem wojował takim mu odpłacono.

Razu jednego zajechał do gorzelni, skąd go proszono na nocleg do dworu.

Po kolacyi posłano mu łóżko, życząc dobrej nocy. W pokoju tym stał stolik do kart, a w nim pełno tytoniu zagranicznego. Niemiec zwąchał tytoń w stoliku i nazajutrz rano, kazawszy w gorzelni nalać dla siebie sporą baryłę okowity i spakować worek jęczmieniu dla koni, pojechał. Na odwrót wszakże wysłał respicyenta i strażnika na rewizyę do dworu, którzy poszli jak w dym do stolika i zrobili kontrabandę.

Nie pokazał się już więcej szwabisko do dworu i zajeżdżał na nocleg do karczmy. Ale tu pewnego razu, gdy Niemiec wygrzewa się jeszcze w pierzynach żydowskich, wchodzi do stancyi nieznajomych dwóch ludzi, dzierząc w ręku instrument, napełniony odwarem z tytoniu, i choć nie mieli patentu na cyrulików, aplikują mu go w sposób bardzo nieprzyjemny. To mu dogodziło. Nie długo już dokuczał ludziom, bo go wkrótce przeniesiono.

Tyle mi opowiadał ks. Kanonik. A teraz wracajmy od szwaba do naszych biegusów podolskich.

Do najostrożniejszych ptaków w naszym kraju niezaprzeczenie zaliczyć należy dropie. Dniem przesiadują zawsze na otwartych równinach albo małych podniesieniach, skąd mają widok daleki. Stada pilnuje zwykle stary samiec, trzymając się zawsze cokolwiek na uboczu. Gdy się stadko dropi podchodzi lub podjeżdża, w odległości jeszcze bardzo dalekiej, gdy całe stado nie zwraca jeszcze najmniejszej uwagi i spokojnie skubie trawę albo spoczywa — stary ten dowódca wszelką swą uwagę już zwrócił i na sekundę nie przestaje być bacznym.

Dropie, zwłaszcza nie bardzo ostrzelane, zazwyczaj starają się najpierw zejść z drogi zbliżającemu się wózkiem albo pieszo idącemu myśliwemu, co ma miejsce na bardzo daleką odległość, nie ruszą się jednak dopóty, dopóki dowódzca stadka nie wskaże pierwszy kierunku. I do odlotu stadko się nie gotuje, dopóki dowódca nie zakomenderuje gotowość. A każdy z nich, starszy czy młodszy, jednakowo nakazuje komendę: Najpierw strzepie się, a wtenczas całe stado ma się już na baczności, potem od strony zbliżającego się niebezpieczeństwa wyciąga w tył nogę a później skrzydło, nareszcie rozwija obydwa skrzydła i macha niemi raz albo dwa razy. Jest to znak najpewniejszy, że za kilka sekund dowódca najpierw, a za nim całe stado wzleci. Tę chwilkę myśliwy wyzyskać musi, aby strzelić jeszcze do siedzących dropi. Po takim znaku, danym przez dowódcę stadka, niech się nikt dalej podchodzić nie kusi, bo z pewnością wszelką bliżej zejść się nie dadzą, a daleki strzał kulą w lot jest bardzo trudny.

Mimo tak wielkiej ostrożności, udało mi się przecież zejść raz dropie na odległość kilkunastu kroków i to aż dwa razy, a rzecz się tak miała.

Zdaleka zoczyliśmy stadko dropi na niewielkim łanie, zoranym pod zasiew oziminy poraz pierwszy. Przed drugą orką wyrasta na takiem polu zazwyczaj gorczyca, stanowiąca przysmak w kuchni dropia. Dla tej gorczycy najchętniej dropie trzymają się na takich polach, zwanych „pareninami“.

Trzy boki pola, na którem dropie siedziały, były całkiem otwarte, czwarty przytykał do wąskiego pasa kukurudzy. Od tej kukurudzy dropie oddalone były o jakich 200 kroków tj. na doskonały strzał z sztućca. Naprzeciw dropi, po przeciwnej stronie kukurudzy, stało dwa półkopki zboża. Mając wszelką pewność, że ku stronie kukurudzy i półkopków, tj. jedynych możliwych miejsc, w których ukryćbyśmy się mogli, dropie napędzić się nie dadzą, uradziliśmy, że ja miałem podchodzić dropie poza kukurudzę, a ks. Kanonik, nie mając w dalekim okręgu nigdzie miejsca, gdzieby mógł się ukryć — wyrzekłszy się nadziei strzału, zdaleka tylko obserwował, co się stanie z dropiami po strzale.

Kukurudza, po za którą miałem podchodzić dropie, była niska, tak, że podchodząc, na kolanach czołgać się musiałem; półkopki stały naprzeciw dropi, więc też nie mogłem się wychylać nie dolazłszy do nich. Na czworakach tedy jąłem mą pielgrzymkę do półkopków. Wreszcie jestem już może o 50 kroków od półkopków, gdy wtem słyszę za sobą łomot skrzydeł. Oglądam się i widzę dropia, wzlatującego z kukurydz, obok którego może na cztery kroki się czołgałem. Chwyciłem tedy sztuciec i strzeliłem do niego najdalej na 20 kroków. Drop spudłowany poleciał, a stadko z „pareniny“ także wzleciało.

Ze zwieszonym na kwintę nosem, wolniej niż na czworakach, dotarłem do ks. Kanonika, który widząc moją konfuzyę, miał już litość nademną i nie czynił mi żadnych wyrzutów. W ogóle nie mieliśmy dnia tego powodzenia; po całodziennym trudzie nie przyszliśmy więcej do strzału.

Drugim razem wracałem do domu nie z polowania, ale przejeżdżałem miejscowość, gdzie z dropiami spotkać się mogłem. Miałem w wózku sztuciec i strzelbę na plotkarza zająca, siedzącego obok gościńca w roli. Z daleka zobaczyłem

na „pareninie“ kilkanaście dropi. Przestrzeń między mną a dropiami dzielił wydół nie bardzo pochyły, ale zato długo się ciągnący. W jechawszy w dół, dropi widzieć nie mogłem; wyjechawszy zaś na pagórek, oglądam się — nie ma dropi — przypuszczałem, że wzleciały. Wtem chłopak mój zauważał ostatniego dropia chowającego się w kukurudzę.

— W którem miejscu? — pytam.

— Prosto tej gorczycy, co żółto kwitnie.

— A pewnie widziałeś?

— Z pewnością widziałem, ale tylko jednego.

Po drugiej stronie kukurudzy było otwarte szerokie pole; przypuszczałem, że dropie przewędrowały przez kukurudzę na przyległe pole. Zajeżdam tedy końmi tak, że widzę całą pareninę, na której dropie siedziały, a również pole po drugiej stronie kukurudzy, ale dropi nie widać.

— One są w kukurudzach — odezwał się chłopak — bo widziałem dobrze jednego, jak w kukurudzę poszedł.

— Jeśli dobrze widziałeś i są w kukurudzach — rzekę — to ja im tu łaźnię sprawię.

Zlazłem z wózka, a pomimo, że do dropi było dość daleko, kazałem chłopakowi nie zatrzymywać się, by nagłe ustanie turkotu wózka nie zwróciło ich uwagi. Wziąłem z sobą sztuciec i dubeltówkę, zbliżam się już do kukurydz, ale dropi nie widać.

Uspokoiłem nerwy, i pomału idę koło kukurudzy. Uszedłszy może sto kroków, widzę o kilkanaście kroków od siebie łby dropi, posuwające się dość szybko w stronę „pareniny“. W tej chwili formalnie zgłupiałem, nie wiem co robić, nie zatrzymuję się — idę dalej. Trwało to kilka sekund. Dropie wypadły na pareninę, równie jak ja skonfudowane i wszystkie plackiem jak na komendę do ziemi przywarowały. Kukurudza była niska i rzadka, widzę je zatem doskonale. Zrównałem się z dropiami, rusznicę biorę między nogi a z sztućca szlę kulę, wybrawszy jednego najlepiej leżącego — rzucam następnie sztuciec i chwytam strzelbę — stuk do jednego — dyrrr, odpowiedziało uderzenie śrutów, z drugiej lufy do drugiego, znowu słyszę uderzenie śrutów. Do pierwszego nie dublowałem bo było blisko. Po strzale patrzę — jeden drop odłączył się zaraz, ale nie pada jeszcze, patrzę na ziemię, leży... dwa pióra, które drop uronił.

Ojojoj! gwałtu! omal że nie krzyczę z rozpaczy. Patrzę jak fizyk za lecącemi dropiami, wreszcie ten, co zaraz po strzale od stadka się odbił, o paręset kroków siadł na lewo; w prawo odbił się od stadka jeszcze drugi, ale poleciał i znikł z oczu. Skonfundowany wracam do wózka.

— Jeden tam upadł, ot, tam leży — rzekł mój chłopak.

— Widzę — odpowiedziałem. Siadłem na wózek i kazałem pomału jechać do dropia. Snać i chłopakowi bardzo się niepodobało moje strzelanie, bo kiwał głową, krząkał, wreszcie widocznie nie mógł już wytrzymać i mówi:

— To pan nic więcej nie zabili?

— A widzisz, że nic.

— Ojojoj — stęknął chłopak — ja myślał, że będzie kilka dropi.

— Ha, i ja tak myślał.

— A to tak blisko były, że kijem można było bić — prawi chłopak — a takie duże stado, 16 ich było, jeszcze my nigdy tak dropi nie mieli, taj już nie będziemy... Ta to była durnica... Ach, jakbym ja był tak buczkiem z poza kukurydz walnął!... Toć pan trzy razy strzelili, ta niech by choć trzy dropi, w taką hurmę, to taki pełny wózek do domu bylibyśmy wieźli... Ojoj! ta i ten jeszcze ucieknie, bo staje na nogi...“

— Ot bestja rozgadał się — pomyślałem — Hola! — wołam — czy ty nie przestaniesz haukać durniu! Jedź i uważaj na drogę, a cicho, bo w kark!

Chłopak urwał gadanie, ale znać dużo mu jeszcze na jezyku pozostało, bo od czasu do czasu to krząkał to kiwał głową.

Zbliżyłem się do dropia na paręset kroków — wzleciał i strzał był niemożliwy.

— Obracaj konie i jedź do domu — rzekłem.

— Taże szkoda dropia — odparł chłopak — on ledwo leci, zaraz upadnie, ta żeby choć jeden...

— Obracaj — krzyknąłem — bo w kark!

Nie oglądnąłem się więcej za dropiem i wróciłem do domu.

Gdyby mnie losy w mej wędrówce jeszcze kiedy w okolicę dropi zawiodły, polowałbym na nie rzadko, starając się przytem ile możności na wiatr nie strzelać, a zdobytego dropia chowałbym zawsze w wózek, aby nim sąsiadów myśliwych nie irytować, zwłaszcza tych, którzy śrutami dropie strzelają, tracąc czas i amunicyę i płosząc je niepotrzebnie.

Drop ma mięso białe i różowe, a pieczyste z niego jest kruche i smaczne. Twierdzenie, które wiele razy słyszałem, że drop jest nie do jedzenia, tłumaczyć mogę chyba w ten sposób, że go trudno dostać, że jest to zatem stworzenie, które widzieć można ale jeść trudno. Jadłem dropie przyrządzane w rozmaity sposób, i przyznać muszę, że były bardzo smaczne. Niezaprzeczenie zależy bardzo wiele od przyrządzenia. Na pieczyste świeżego dropia używać się nie powinno; wypatroszony powinien kruszeć w ciepłe dnie dobę, w chłodniejsze dwie doby, a w późnej chłodnej jesieni nawet i kilka dni.

(Dokończenie nast.)

KORESPONDENCYE.

Lwów w styczniu.

(Z knieji Arcyksięcia).

Dnia 16. stycznia b. r. urządził Arcyksiąże Leopold Salwator polowanie w lesie „Niwickim“ w Rzęśnie polskiej, gdzie od dwóch lat jest właścicielem polowania. W polowaniu wzięli udział oprócz gospodarza i jego ochmistrza barona Lazzariniego, zaproszeni panowie: Generał Metzger, pułkownicy Dylewski i Sturm, majorowie Wurm i Glass, kapitan Commersi, porucznik Kögl i niżej podpisany. Polowanie prowadził major Wurm, przy pomocy leśniczego p. Schulz'a. Łowy wypadły doskonale. W dziesięć strzelb ubito w sześciu miotach 20 zajęcy i dwa rogacze, z tego położył Arcyksiąże trzy zające i jednego rogacza, podpisany zaś sprawozdawca jednego rogacza i jednego zająca. Strzelano w ogóle bardzo dobrze. Wynik łowów świadczy wymownie o tem, jaki postęp w zwierzostanie sprowadza umiejętna i racyonalna go-

spodarka łowiecka. Dzięki szanowaniu zwierzyny i podawaniu jej w zimie obfitej karmy, czuwaniu nad kłusownikami, w czem główna zasługa leśniczego Schulza, stan sarn w Rzęśnie jest piękny. Podczas polowania, w sześciu miotach widziano około 30 sztuk sarn i dużo zajęcy. Podczas gdy w innych latach ubijano zaledwie kilka sztuk, w tym roku znalazła się na rozkładzie znaczna ilość zwierzyny. Z lisów widział podpisany tylko jednego, nie ma ich w ogóle w Rzęśnie, ponieważ miejscowy leśniczy z polecenia arcyksięcia niszczy te szkodniki bez litości z jamnikami. Dzień był prześliczny, jakkolwiek przy 15-stopniowym mrozie pruszył śnieg. Podczas śniadania, zastawionego w lesie, grono polujące doznało miłej niespodzianki. Okryty soplami lodu przybył dworski fotograf p. Edward Trzemeski i dokonał trzech zdjęć, które uczestnikom polowania przypominać będą mile spędzony dzień, który i bez tego zapisał się na długo w pamięci polującego grona, dzięki uroczej kniei a przedewszystkiem dzięki serdecznej uprzejmości dostojnego gospodarza. *L. G. Dziubiński.*

Szepetówka w styczniu.

(Halb-bluty wilcze i dzicze. — Strix bubo).

W ostatnim, styczniowym numerze „Łowca" wyczytałem wzmiankę o czarnym wilku, zabitym jakoby w mych lasach Szepetowieckich.

Pozwalam sobie tu nadmienić, że rzadki ów okaz nie został ubity w Szepetówce, a należy do gniazda czarnych wilków, które się w r. z. w Czerniatynie około Antonin pojawiły. Jednego z nich ubił na polowaniu jesiennem 1891 r. Tomasz hr. Zamoyski i takowy znajduje się wypchany w Julinie, drugi padł z ręki leśniczego i posłałem go do muzeum „Frascati" hr. Branickiego w Warszawie, trzeciego wreszcie, o którym właśnie mowa i którego dla muzeum hr. Dzieduszyckiego ofiarować sobie pozwoliłem, przyniesiono mi żywcem jako malutkie szczeniątko w lecie 1891 roku; do grudnia z. r. przetrzymałem go na uwięzi w małym zwierzyńcu w parku Antonińskim.

Odznaczał się dzikością, złośliwem usposobieniem i nie sposób go było oswoić.

Temu kilka tygodni zerwał się z łańcucha; pierwszym jego czynem po odzyskaniu wolności było zaduszenie lisa, kolegi niewoli, obok niego na łańcuchu trzymanego, poczem począł uganiać za danielami w tymże parku chowanemi.

Gajowy, nie mogąc złowić rozhukanego rabusia a bojąc się o skórę danieli, zastrzelił „Ravachola" (taką nazwę nosił ów wilk); nie zbyt się mi tem przysłużył, gdyż wolałbym stracić parę danieli, niż ów rzadki okaz wilczej odmiany.

Pozwalam sobie nie podzielać zdania, wypowiedzianego w dotyczącej notatce „Łowca", że jest to „Canis lycaon", czyli odrębny gatunek wilka.

Sądzę, że mamy tu do czynienia z produktem przypadkowego skrzyżowania wilczycy z psem domowym; świadczą za tem białe płatki na końcu łap i na piersiach, tudzież okoliczność, że wybierając młode wilczątko z gniazda widziano w kniei starego wilka, prawdopodobnie matkę, normalnego koloru.

„Canis lycaon", o którym Brehm wspomina, w naszym kraju do niesłychanych i niebywałych rzadkości należy i nigdy o nim słyszeć nic się nie zdarzyło! Mieszańce zaś psa i wilka trafiają się czasami, choć w każdym razie do wyjątkowych wypadków zaliczyć je należy; we Francyi, o ile słyszałem, wytworzyły one osobną rasę psów owczarskich. Obecnie posiadam u jednego z rewirowych leśniczych Szepetowieckich lasów, młodego, w lecie żywcem złapanego wilka, którego dla próby parują z suką domową, burego koloru, i niebawem spodziewamy się rezultatu tego krzyżowania, przyczem suka bynajmniej wstrętu ani obawy przed wilkiem nie okazuje.

W tymże samym rewirze znajduje się u jednego z pobereżników świnia domowa, która kilkakrotnie obdarzała już swego właściciela miotem prosiąt po odyńcu leśnym; obecnie jest siedm sztuk takich halb-blutów, stanowiących rezultat leśnych wędrówek tej zamiłowanej do kniei maciory domowej. Zupełnie w ojca się wdały, z natury i wyglądu, i prócz nieco jaśniejszego koloru w niczem swojskich swych krewnych nie przypominają.

Na zakończenie fakt, który się temi dniami u mnie w Antoninach zdarzył. W bażantarni, założonej temu kilka miesięcy w pałacowym parku, urządził bażantarnik tuż koło szopy bażanciej o paręset kroków od pałacu t. z. wilczy dół, czyli jamę do łapania lisów, kręcących się w obrębie bażantarni. Otwór jamy zakryty szuwarem, przez środek założona wąska deszczułka, na której przywiązana kaczka, jako wabik. Dotąd złapało się już w ten sposób trzy lisy żywcem, onegdaj zaś bażantarnik, obchodząc rano swe terrytoryum, ujrzał otwór zawalony, a w jamie siedzącego nieruchomie ogromnego puhacza (Strix bubo), obok zaś na pół martwa ze strachu, lecz nietknięta kaczka. Skąd się ten drapieżnik wziął w naszych stronach i to w pałacowym ogrodzie, tem więcej dziwne, że nawet w głębokich lasach Wołynia puhaczów nie ma; chyba go burze i śnieżyca z dalekiej północy zagnały. Widocznie był zmęczony i otumaniony, gdyż z jamy łatwo się mu było wydostać. Obecnie w klatce służyć będzie jako środek polowania na ptaki drapieżne. *J. P.*

Wola Małnowska w styczniu.

(Z bogatej kniejki.)

Dnia 13. grudnia odbyło się oczekiwane z niecierpliwością przez naszą okolicę, polowanie w Hermanowicach u p. Jana Rakowskiego. Z niecierpliwością, powiedziałem, bo jestto kniejka nadzwyczaj nęcąca. Malutka, bo ledwie 150-morgowa, lecz tak naszpikowana zwierzem, że przez czas trzech godzin polowania grzmi w niej ustawiczna kanonada i nieraz nie można nadążyć w strzelaniu do zajęcy, które tu z całej okolicy się ściągają, nęcone czujną opieką właściciela i obficie podawaną karmą. W tym roku Dyrekcya fortów przemyskich popsuła nam zupełnie dwa mioty, zabrawszy je pod budowy i wyręby w celu odsłonięcia beteryi. Mimo tego jednak na trzygodzinnem tegorocznem polowaniu w Hermanowicach padło strzałów przeszło sto, a znalazło się na rozkładzie: 1 rogacz, 1 lis i 32 zające.

Nadzwyczaj interesującym momentem polowania był epizod, jaki się podpisanemu z lisem wydarzył. W pierwszym miocie stałem na flance od pola. Nim pogonka zaszła jeszcze zupełnie, już poczęły pojedyncze zające wyskakiwać na pole. Nie zwlekając, począłem ostrzeliwać tych dezerterów i zabiłem dwa, które powywracały się opodal na polu pod lasem. Wtem gospodarz, który ustawiał myśliwych na linii, przychodzi do mnie i prosi, bym zeszedł z flanki a udał się na próżne miejsce na linii. Wypełniając to polecenie, poszedłem na linię, lecz zobaczywszy, że brakujący myśliwy zajął już swoje stanowisko i że inni koledzy myśliwi nie bardzo są kontenci z mego spaceru po linii, wróciłem czemprędzej na poprzednie stanowisko na flance. Św. Hubert wiódł widocznie moje kroki, bo wyszedłszy na róg pola i linii ujrzałem jak jednego z ubitych poprzednio przezemnie zajęcy,

transportuje właśnie majster Reinecke z pola do lasu, jak najlepszy aporter od Cezara i Minki. Rzeczywiście bezczelność karygodna, aby zmykając z miotu, w którym już ciasno być zaczynało, nie zapomnieć jeszcze o swojem rzemiośle i pakować się na przebój w miot, gdzie już grzmiała gęsta pukanina. Odległość była ogromna, lecz nadzwyczaj silny wicher, miękki śnieg a nadewszystko zajęcie się lisa swoją tak łatwą zdobyczą, ułatwiły mi zbliżenie się na strzał — nie pewny lecz możliwy. Na odległość tedy 120 kroków (następnie rachowanych) palnąłem do niego najpierw z Diany Piperówki Nr. 4.z Choc-bore, a potem poprawiłem dwójką z prawki. Widziałem, że mu to nie smakowało, i rzeczywiście uszedłszy jeszcze ze sto kroków, wywrócił się nieborak jak długi. Jestto jeden z najmilszych moich strzałów do lisów, milszy tembardziej, że lis ten był jedynakiem, który padł na tem polowaniu. *Aleksander Przedrzymirski.*

Jasionka w styczniu 1893.

(Nasze polowania).

W dniu 4. i 5. stycznia polowaliśmy w dziewięć strzelb u hr. Zdzisława Tyszkiewicza, w Weryni pod Kolbuszową. Czas nam nie sprzyjał, zawieja śnieżna przy silnym mrozie osłabiała zapał myśliwski i niedozwalała nagonce pilnować szeregów i regularnego pochodu jakby należało, a mimo to rezultat myśliwski wypadł świetnie, organizacya polowania była wzorowo obmyślana i przeprowadzona. Pierwszego dnia polowaliśmy w lesie tak zwanym Kłapówka i mieli wieczorem ułożonych na linii bojowej 181 zajęcy, 3 rogacze, 3 lisy.

Drugiego dnia w polach, cztery nagonki „Felddrucker“ i dwa kociołki uwieńczone rezultatem 214 zajęcy położonych na sztrece. W jednym kociołku obejmującym mało więcej nad dwieście mórg padło 85 zajęcy, mimo że z nabijaniem dla zimna i sztywnych palców nie jeden myśliwy się spaźniał, tym zaś co szli pod wiatr, zawieja zasłaniała wymykające się zające, które tym sposobem bez szwanku z koła się wydostały. Ten stan zajęcy, niezwykły jak na nasze galicyjskie stosunki, już od kilku lat zwraca na Kolbuszowę uwagę ogólną w gronie myśliwych i zamiłowanych chodowców zwierzyny. Wszak tu ani klimat ani położenie nie jest lepsze, jak w wielu podobnych u nas miejscowościach. To wyłączna zasługa właściciela, który do tego rezultatu nie tylko umiejętną chodowlą doszedł, ale i tym wpływem moralnym, jaki na cały swój powiat wywiera.

Hrabia Tyszkiewicz jest 25 lat marszałkiem w powiecie, a ludność cała tak do jego osoby przywiązana, że tam szkodnik lub kłusownik, który by się poważył targnąć na własność ukochanego dziedzica, będzie w tej chwili przez samych włościan wykryty i jak parszywa owca w gminie uważany. Takiej straży polowej nikt z nas mieć nie potrafi ale też i nikt w całej Galicyi nie poszczyci się tem, że przez dwadzieścia pięć lat wytrwał na zaszczytnem ale żmudnem i ciężkiem stanowisku marszałka powiatu.

Już od lat dwudziestu bywam na polowaniach w Weryni, w stanie zwierzyny znakomity postęp, ale dom zachował zawsze jednę i tę samą cechę, co jest jego prawdziwym urokiem. Ten sam stary Michał, który już pięćdziesiąt lat służy, wita przybywającego gościa, ten sam stary furman Marcin wiezie srokaczami do lasu — to samo przyjęcie, ta sama niezmiennie zawsze jednolita staropolska gościnność, a to wszystko uspasabia nas tak miło, tak swobodnie, że te parę dni spędzonych w Weryni mają dla siebie odrębny urok, którego pamięć niezatarta pozostanie w gronie tych, którzy sobie powiedzieli — do widzenia na rok przyszły jak Bóg da doczekać! *S. J.*

Z pod Radziechowa, w styczniu 1893.

(Z tutejszych knici.)

W dniach od 12. do 16. grudnia włącznie odbyło się polowanie w lasach radziechowskich. Jeżeli się uwzględni znaczną odległość lasów, w których łowy odbywano, od mieszkania gospodarza, bo aż 24 km. i wielkość rejonu, to wynik polowania nie można inaczej nazwać, jak świetnym. W tych pięciu dniach wzięto miotów 33 o przestrzeni ogólnej 740 morg, przyczem, nie licząc drogi z domu i napowrót, odbyto 35·8 km. jazdy. Pomimo wszystkiego jednak ubito w 9 strzelb w pierwszych trzech dniach, a 8 strzelb w dwóch ostatnich 15 dzików, 27 rogaczy, 187 zajęcy i 7 lisów.

Uwzględnić przytem należy przeszkody lokalnej natury, a mianowicie niekorzystne dla zwierzostanu położenie lasów radziechowskich, i inne niepomyślne warunki, gdyż kompleks lasów radziechowskich ma zbyt mało rozwiniętą granicę, więc jakkolwiek zwierz ma dość spokoju, to znajduje mniej odpowiedniego pożywienia wewnątrz boru, a tylko skraje lasów są pod tym względem lepiej położone.

Odnosi się to naturalnie do zwierzyny płowej, bo w borach posiadających dostatek żołędzi, zwierz czarny znajduje łatwiej pożywienie.

Brak dobrej wody do picia w lasach radziechowskich nie może również wpływać pomyślnie na stan zwierzyny, a nawet powoduje wiele chorób epidemicznych, jak karbunkuł, tuberkuły, motylicę, które prawie co roku zwierzostan dziesiątkują. Inaczej się ma ze zwierzyną czarną. Ta w regule znajduje w lasach radziechowskich podostatkiem żeru, choć znowu rok obecny wpłynął na stan dzików nie dobrze, bo oprócz starych dębów, które słabo bardzo owocowały, innego żeru dla dzików w kniei wcale nie było. Ztąd też nietylko, że stan dzików także w tym roku gwałtownie zmniejszyć się musiał, lecz i te dziki, które rewirów polowaniem objętych nie opuściły, trzymały się stadkami tam, gdzie żołędź więcej obrodziła, i nawet w nocy granic nie przekraczały, tak, że wskutek tego raporty z otropienia nie mogły być przed polowaniem dokładne. Dość powiedzieć, że podczas gdy drugiego i czwartego dnia polowania ubito po 5 dzików, w inne dnie stosunek był nieproporcyonalnie mniejszy, a piątego dnia nie ubito żadnego.

Pomimo tych wszystkich przeszkód, nie można powiedzieć, aby stan zwierzyny był w lasach radziechowskich złym; owszem wcale dobrym nazwać go wypada, biorąc jeszcze i tę okoliczność w rachunek, że na 720 strzałów danych, było 236 celnych, a więc pudła wynosiły 67%.

Przyczyny pomyślnego zwierzostanu szukać należy w racyonalnej i umiejętnej gospodarce leśnej. Bo przyznać należy, że i w tem, jak we wszystkiem, ma hr. Stanisław Badeni, właściciel Radziechowa szczęśliwą rękę. Doprawdy dziwić się wypada, skąd szanownemu właścicielowi Radziechowa starczy czasu zajmywać się tyloma sprawami, i to ze skutkiem jak najpomyślniejszym? Kto śledzi jego działalność polityczną, sądzićby mógł, że tylko wielkie plany i przedsięwzięcia go zajmują, ale zmieniłby przekonanie, gdyby przypatrzył się okolicy Radziechowa. Administruje on swój majątek wzorowo sam, i daj Boże, aby wszyscy tak administrowali, a poza tem mnóstwo publicznych instytucyj za-

wdzięcza mu swe powstanie i żywot. Wspomnę tu tylko o kasie zaliczkowej, o zakładzie zakonnic Tercyarek, o podniesieniu i wspieraniu przemysłu, szkolnictwa, o pracach nad Wystawę krajową itd.

Wogóle działalność hr. Badeniego jest niezmordowaną, ofiarność niewyczerpaną, a skutki jej na każdym kroku, tak w miasteczku Radziechowie, jak w całej okolicy są widoczne i zjednywają mu serca i wielkich i maluczkich. To też nic dziwnego, że i gospodarka myśliwska zajmuje go bardzo, a chociaż sam z zamiłowania myśliwym nie jest, nie brak mu poczucia ważności tej gałęzi gospodarki krajowej.

Przyznać mu wypada jeszcze i to, że w doborze ludzi ma sąd również trafny. Bo też nadleśniczy radziechowski, Wojakiewicz, dzielnie sekunduje gospodarzowi w administracyi. Wytępieniem szkodników, a mianowicie lisów i w ogóle umiejętnem postępywaniem, podniósł zwierzostan lasów, a z obowiązku organizowania polowania i kierowania temże, wywiązał się ku zadowoleniu wszystkich uczestników łowów.

Stary myśliwy.

Kołomyja 5. stycznia 1893.

(Lekarstwo w celu poprawy zwierzostanu).

Korszów, własność Wnej B. Krzeczonowiczowej, niegdyś najlepsza knieja w kołomyjskiem, prawie od lat 20 postradał tak dalece piękny zwierzostan, że wszystkie choć rzadkie polowania robiły kompletne fiasko, a najobfitsze dzienne rozkłady nie przekraczały fatalnej cyfry 10! Knieja ta, posiadająca w jednym kawałku około 3.500 morgów lasu, składa się w $^1/_3$ z głębokiego kwadratu, poprzerzynanego częstemi parowami — i w $^2/_3$ z długiego pasa graniczącego po obu stronach z polami, a przeciętego w osi podłużnej strumykiem. Przy tym pasie w środku znajduje się piękny staw. Głęboki las jest gruby, zaś długi pas ma przeważnie piękne zapusty.

Polowania były tu tak rzadkie, że corocznie trzecią część lasu wypuszczano. Pomimo więc korzystnego położenia kniei i oficyalnego szanowania zwierzyny, było jej do roku 1890 tak mało, że właścicielka zaprzestała urządzać większe polowania. Długi czas zastanawiano się nad przyczyną tego fatalnego stanu, i składano złe na miejscowe i sąsiednie kłusownictwo, którą liczna i uzbrojona straż leśna jakoby powstrzymać nie była wstanie. Prawie codzień słychać było w kniei gon psów, a urzędnik pobliskiej stacyi kolejowej, oczekując pociągów, naliczył w jednej jasnej nocy letniej 40 strzałów.

W kniei tej zawsze polowałem i miałem służbę leśną w wielkiem podejrzeniu. Podczas polowania z nagonką, idąc na skrzydle, usłyszałem raz bliski gon psa. W tej chwili wydałem na niego wyrok śmierci — i powołałem jako wykonawcę nie daleko za mną na skrzydle pogonki idącego pobereżnika, który utrzymywał, że pies ten jest własnością sławnego kłusownika z sąsiedztwa. Wnet przecięliśmy gon, który już bardzo był bliski, i tu dopiero oświadczył mi Iwan, że nie może spełnić rozkazu, bo strzelba jego nie nabita. To potwierdziło moje podejrzenie. Po chwili przeszła obok nas koza, a za nią w niewielkiej odległości wielki pies gończy. Chcąc wypróbować pobereżnika, złożyłem się do tego psa. W tej chwili Iwan przyskoczył do mnie z błagalną prośbą: „Panyczu ne strylajte, bo to mij pes!“ Kazałem mu w tej chwili psa przywołać i pod utratą służby jak najprędzej sprzedać.

Przy rewizyi, odbytej w jakiś czas potem u tego pobereżnika, znaleziono sporą ilość skórek sarnich. Drugiego zaś pobereżnika przyłapał leśniczy w nocy z dwoma ubitemi kozami w lesie. Obydwaj odpokutowali „za kozy w kozie“.

Było to w roku 1890. Zaraz po tych wypadkach odebrała właścicielka strzelby całej straży leśnej, i — o dziwo! od tego czasu psów i strzałów w lesie słychać nie było wcale. Już na drugi rok zwierzostan tak się znakomicie poprawił, że obecnie knieje te nie ustępują znakomitym sąsiadkom t. j. Kamionce i Słobódce.

Polujemy zwykle w 4, najwyżej w 6 strzelb. W bieżącym sezonie padło na 1-szem polowaniu 3 lisy, 3 kozły — na drugiem 3 kozły, 2 lisy, 23 zajęcy, — na 3-cim 3 kozły, 1 lis, 27 zajęcy i 2 jarząbki. Naturalnie, że przy skromnem obsadzeniu stanowisk pewnie $^2/_3$ zwierzyny przechodzi linie bez strzału. Cietrzewie, których tu była znaczna ilość, wywędrowały tego roku bez powodu, bo ich wcale nie płoszono i na nie specyalnie nie polowano. Dawniej były tu każdego roku i prawie w każdym miocie widziane — teraz zdybujemy bardzo rzadko.

Dzików jest w lecie zwykle wiele — w zimie zaś bardzo rzadko. Z początkiem roku 1892 zastał leśniczy całe stadko dzików pod stogiem siana i podszedłszy ją szczęśliwie ubił 1-szym strzałem maciorę. W następujących 4-ch dniach ubił z tego stada w tem samem miejscu i o tej samej godzinie w południe 4 piękne warchlaki, które pomimo płoszenia wracały nieustannie do miejsca, w którem straciły matkę, i w ten sposób zadziwiające przywiązanie rodzinne przepłaciły życiem.

J. Ł.

Kamienna w styczniu 1893.

(Z polowań).

Przesyłam wam kilka wiadomości z polowań w naszych stronach, w których lub sam brałem udział, lub dokładnych wiadomości zasiągnąłem.

Ciąg słonek ubiegłej jesieni był prawie żaden, błotnego ptactwa z powodu posuchy prawie nic. nie było, przepiórek trochę i to miejscami. Po sprzyjającej wiośnie spodziewano się bardzo dużo zajęcy, tymczasem polowania okazują, iż nadzieje zawiodły; nie tak świetny stan zajęcy jak się spodziewano, a można powiedzieć. że nawet dość mierny. Natomiast mamy więcej sarn, a dziki, z powodu, iż miejscami żołądź zarodziła, wszędzie się rozlazły i po kilka sztuk jest prawie w każdej kniei na dołach i pod górami, lecz większych stad nigdzie się nie spotyka.

Jesienne polowania nie dopisały. Gdzie się odbyły w piękny dzień, to fiasko niezawodne, bo zając siedział w polu, a lis czmychnął do jamy, jeśli zaś i stan sarn był mały, to polowanie wypadło smutno. Zima nie sprzyja polowaniu, bo niestała, raz mrozy dochodzące do 20-u stopni, to znowu odwilż lub zamieć — tymczasem polowanie zamówione odbyć się musi, więc i wynik niefortunny.

W Chocimierzu, w powiecie tłumackim, odbyło się polowanie dnia 16. grudnia r. z.; ubito 7 kozłów i 47 zajęcy. Gdyby lepsza pogoda, mogło było paść dwa razy tyle zajęcy a kozłów powinno było paść dwadzieścia kilka, taka tam masa sarn.

Dnia 3. stycznia odbyło się polowanie u księcia Świdrygiełły w Tarnowicy powiatu nadwórniańskiego; padło 20 zajęcy, 3 kozły i 3 lisy. I tu odwilż przyczyniła się, że wynik był tak mały, gdyż zająca trudno było wypchać na myśliwych. W sławnej Turce powiatu kołomyjskiego zające także nie dopisały, kozłami tylko imponuje, bo w kilku małych polowaniach, odbytych w kilka strzelb, doszła liczba tychże do 39, a jest nadzieja, że do 50 dojdzie. Pomimo

tego stan sarn taki, jakby polowania nie było. Szkoda tylko, że ta knieja z rąk tak starannych jak dzisiejsze przejdzie w ręce spekulantów, którzy nie amatorstwem a raczej spekulacyą powodować się będą, jak w graniczącej Kamionce Wielkiej.

Jeszcze mamy kilka bardzo ładnych rewirów, gdzie dotąd nie polowano jak Czarnołożce, Żuków i Bortniki. Od sprzyjającej tylko pory zależy, by wynik był świetny, gdyż knieje nie tylko bardzo ładne i bogate w zwierza, ale tak starannie pielęgnowane, iż niepodobna, by ktoś się mógł niemi lepiej opiekować. *Grzegorz Głuchowski.*

Z Dobromilskiego d. 5. stycznia 1893.

(Ada contra Ada).

W odpowiedzi szanownemu autorowi wiersza myśliwskiego z dnia 20. grudnia 1892 p. t.: „Wierszem i prozą“ opatrzonego podpisem „Ada“ — posyłam co następuje:

Na Twe wiersze, co tak gładko
Nakreśliłeś w „Łowcu“ Panie,
W których było polowanie,
Młody Nemrod — dzików stadko,
I bieluchnej brzeg pończoszki...
I wynikłe z tego czary...
Uchylenie „kotar“ troszki...
Trzewiczek Panny Barbary...
Gdzie wspominasz i marszałka,
Robiąc nawet z niego śmiałka,
Co pytając o trzewiczek,
Chce pończoszki... na wabiczek...
(Gdy tymczasem rzecz ta cała
Całkiem się inaczej miała;
Bo gdy Ty się przekomarzał...
To marszałek li powtarzał):
Na te wiersze więc wyborne,
I dowcipne i wytworne,
Z których ukrytej tendencyi,
Widać ogrom elokwencyi -
Odpowiedź daje Ci Ada,
Ale przytem śmie zapytać,
Jak rozumieć to i czytać,
Że pseudonim własny mój
Ma na końcu wierszyk Twój —
Gdy tymczasem w wierszu całym
Mego nie ma ani słówka?
Więc choć czarne jest na białem,
To pseudonim „Łamigłówka“,
Do którego, choćby rada,
Przyznać się nie może Ada;
Ale zato przeczy temu
Orzeczeniu okropnemu:
„Jakby gusła te i czary...
Spokój panien przerwać miały,
By wzdychały wśród tych jarów
Nie do łowców — lecz do czarów“.

Prawdziwa *Ada.*

Hadle 15. stycznia.

(Z naszych łowów).

Aby dać przykład, jak przy racyonalnem prowadzeniu gospodarstwa łowieckiego i szanowaniu zwierzyny można prędko przyjść do pomyślnego rezultatu, donoszę o dwóch polowaniach, odbytych z końcem grudnia w Hyżnem i Krasnem w powiecie Rzeszowskim.

W Hyżnem, gdzie w skutek niezbyt korzystnych warunków dla zwierzyny, a głównie z powodu wielkiej liczby kłusowników w okolicy, należały sarny niedawno do rzadkości, na odbytem polowaniu w 6 strzelb dnia 27. grudnia padło 9 rogaczy, 14 zajęcy i lis. To też wszędzie widać po miotach porozstawiane tryzubki z koniczyną i owsem, tudzież lizawki i konieczne dla zdrowia sarn świeże konary osikowe. Polowanie prowadzone wzorowo, bez tych tak częstych u nas bałamuctw, miłem na długo dla myśliwych zostanie wspomnieniem.

W Krasnem pod Rzeszowem na Sylwestra była prawdziwa operetka zajączkowa. W pięciu kociołkach padło przy bardzo złem strzelaniu 97 zajęcy. Jeden miot, w którym formalnie roiło się od zajęcy, bo po 15 naraz można było naliczyć, dostarczył 44 zajęcy.

Co roku pada tam znaczna liczba zajęcy, a mimo tego nie tylko nie widać ubytku, ale rezultat polowania z każdym rokiem lepszy, a to z tego powodu, iż poluje się każdym razem tylko na połowie całego rewiru, przez co mioty przychodzą co drugi rok do polowania; przytem dwóch dozorców niezmordowanieugania się za kłusownikami, których nie brak pod miastem i inną drapieżną zwierzyną, w skutek czego zajączki pod skrzydłami starannego o nich gospodarza mogą się wylęgiwać całe dwa lata, dopóki św. Sylwester nie wyda na nich wyroku śmierci.

Rozochoceni myśliwi po skończonem polowaniu pospieszyli do gościnnego dworu, oczekiwani (prawdopodobnie) z niecierpliwością przez urocze damy, aby z niemi przy dźwiękach kapeli 40 pułku noworoczną noc przetańczyć, a że fałszywą jest teorya, że po polowaniu powinno ciało przy zielonym stoliku nieruchomie odzyskiwać utracone siły, świadczy to, iż z wielką ochotę do 9. rano tańczono bez żadnych złych skutków, co daj Boże na rok drugi!

Dnia 12. stycznia byłem na malutkiem polowanku w Kolendzianach (pow. Czortków), gdzie padło w parę strzelb 45 zajęcy i rogacz. *Piotr Łastowiecki*

Z powiatu Borysowskiego (Litwa) w styczniu 1893.

(Ogólne stosunki myśliwskie na Litwie. Obława na łosie).

Od roku zamieszkuję w Dąbrzeżycach, miejscowości o 70 wiorst położonej od Borysowa i kolei, wśród obszernych moczarów i lasów nadberezyńskich.

Stosunki łowieckie tutejsze można tylko z głębokiem westchnieniem opisywać. To, co u was w Galicyi było przed stu laty, panuje obecnie u nas powszechnie. Też same zasady i pojęcia o myślistwie. „Kłusownik“ wyraz tu nieznany, co chata pewnie strzelba, a chłop wybijający zwierzynę zasługuje na miano dobrego myśliwego i sowicie się wynagradza za przyniesioną zwierzynę w każdej porze. Wybieranie jaj z gniazd i tym podobne sprawy, nikogo nie obchodzą. Niestety, o ile znam naszą Litwę, a jestem sam Litwinem, ogólnie biorąc, wszędzie to samo. „Łowca“ nigdzie nie spotkałem, co prawda to w ogóle nasi ziemianie, zamożni nawet, pozwalają sobie na jedno pismo codzienne, a po za tem, rzadko kto prenumeruje coś więcej. W innych powiatach, gdzie już skąpo z lasami, a pola obszerne, zając rzadkością, kuropatw ani na lekarstwo, o polowaniach z nagonką nikt pojęcia nie ma, bo zresztą i niemożliwe z powodu braku zwierzyny.

Takie to są dzisiaj ogólne stosunki na Litwie. Wyjątki stanowią naturalnie obszerne dobra znanych rodów magnackich, lub miejscowości jak nasza, położone wśród tak zapadłych kątów. Dzięki moczarom i nieprzystępnym lasom, mamy zwierzyny niektórej sporo, lecz tylko dzięki naturze, gdyż ludzie i tu starają się ile można wyniszczać. Mamy idealne toki głuszczów i cietrzewi, z wyżłem polowania błotne, a także na cietrzewie i głuszce, pardwy mamy obfite, również polowania na kaczki, choć to, jak tu n. p. w Dąbrzeżycach, wcale nie łatwe. Póki kaczęta młode, nie lotne, wybijać lub wyławiać jakoś paskudnie dla myśliwego z krwi i kości, a gdy już zaczną wzlatać, całemi dniami przebywają w stadach po kilkaset sztuk, lecz na samym środku jeziora tutejszego, a że jezioro ogromne i czyste, więc nie ma sposobu ani napędzić ani podpłynąć. Co nie robiłem! Zakradaliśmy się na brzegach, a cała flota naganiaczy w „kamiahach“, malutkich czółnach, rozstawionych w łańcuch na nas napędzała, naprożno! Aż się krew burzyła na widok tych tysięcy kroci cyranek i Pan Bóg wie jakich gatunków, ale cóż, bliżej jak na 200 kroków do brzegu żadne nie podleci a w łódkach jeszcze gorzej.

„Kamiaha“ o której wspomniałem, Boże odpuść, co za instrument. Długa na 8 do 10 kroków, wyżłobiona z jednolitego pnia, jest tak wąską, że człowiek, cieszący się obfitością grzesznego ciała, ledwie się na jej dnie pomieści. Gdy się we dwóch do niej siądzie, brzegi łódki zaledwie na szerokość dwóch dłoni nad wodą górują. Ale natomiast, gdy przewoźnik zręczny, a prawie każdy chłop tutejszy kieruje doskonale, jest to nieocenione czółenko dla myśliwych do przesuwania się wśród szuwarów i po wodzie, zaledwie pokrywającej błoto gęste, a tak głębokie, że w niem sążniste wiosła się chowają.

Raz o mało nie miałem przykrego wypadku z powodu nieumiejętnego kierowania „kamiaha“. Potrzeba nam było, mnie i strzelcowi memu, przeprawić się przez rzeczkę szerokości może do 30 kroków. Wyżlica moja warowała przykładnie na dnie łódki, strzelca zaś wyżeł, Bobak, będący w okresie pobierania nauk, za nic nie chciał wejść z nami do łódki i został na brzegu. Na środku rzeki zaczynamy się kręcić i nie możemy dobrze naprzód się posuwać, z powodu braku wprawy. Wtem Bobak, zniecierpliwiony, rzuca się do wody i do nas dopływa. Fatalne położenie. Gdy zacznie usiłować wgramolić się do łódki, która zaledwie na kilka cali wystaje po nad wodę, wywrócimy się. Ja pływać nie umię, a przytem w takim błocie i dobremu pływakowi w odzieży trudno sobie radzić. Chwytam więc bez namysłu dubeltówkę i chcę psa zastrzelić w chwili, gdy miał do łódki przybijać. Widząc to strzelec mój, polubiwszy pieska, zawołał z takiem przerażeniem: „Panie! szkoda takiego psa“—że się zreflektowałem, a on wiosłem zaczął go porządnie okładać odpędzając od łódki. Ja też nie żałując kolby, psa poczęstowałem. Nic nie pomogło. Pies dał nura i mimo razów, łapami zaczepia o bok łódki. Krzyknęłem więc „Siedź równo!“ a sam w przeciwną stronę psa pochylam łódź, by wody nie zaczerpnęła. Pies szamocze się, ale dalej nie może łódź przechylić. Wreszcie zaczepiony o łódź przestaje się ruszać. Przechylam więc ciągle łódkę w drugą stronę, a strzelca napędzam „Wiosłuj co sił!“ W takiej pozycyi podpłynęliśmy pod brzeg i tu omało nie nastąpiła katastrofa. Piesek bowiem raptem łódź puścił, a ja tracąc kontrwagę, o włos jej nie przeważyłem.

Na polach szarak tu rzadkością, a mądry bieluch ma takie kryjówki w załomach i gęstwinach, że go ubić trudno. Wilków tego roku obfitość taka, o jakiej nie słyszałem. Coś pod koniec lipca w nocy, pasły się tuż przy drodze konie w obszernej zagrodzie. Rano oznajmują mi, że jeden koń leży zagryziony na sto kroków za stodołą. Idę, przyglądam się, wtem spostrzegam, że drugiemu coś kilka funtów kumpiaku nie staje — idę do innych: trzeciemu jelita wyłażą. Ów z nadwerężoną szynką wyzdrowiał, a poraniony na trzewiach zdechł.

W listopadzie bawił u mnie sąsiad. Wieczorem około 9 godziny siedzim przy kominku i gawędzim. A że sąsiad był myśliwym, mowa o wilkach. Wtem wpada służący i powiada, że w ogrodzie o 15 kroków od domu parobczanego, wilki świnię zaatakowały, lecz na kwik ludzie wybiegli i odbronili. Sam opatrzyłem ślady, gdyż śnieg był świeży, a znaki zębów na nierogatem stworzeniu jeszcze lepiej świadczyły od kogo pochodzą.

Na obławie w Dąbrzeżycach w sierpniu ubito 5 młodych, starą waderę sam zastrzeliłem, lecz mi ją najzręczniej w świecie na miejscu skradziono. Druga obława nie powiodła się.

Niedźwiedzie też znajdują się w Borysowskim powiecie. O dwóch słyszałem tej jesieni w naszej okolicy, oba jednak uszły w dalsze strony.

Łoś, o którym u was tylko tradycya pozostała, trafia się także w naszych stronach, choć bardzo rzadko. Co zimę jednak tropy ich widać, lecz obławy nie często się udają. D. 23. grudnia odbyła się taka obława o kilka wiorst stąd u sąsiada naszego pana Michała W. w Zabojeniu. Łosia trudno otropić. Trzeba dobrze znać knieję i zwyczaje tego zwierza i dużo poświęcić trudu. Otóż przyznać trzeba, że to wszystko p. Michał przeprowadził bez zarzutu i porządek na obławie był wzorowy. Łaskawszym św. Hubert nie mógł się też okazać, gdyż aż 3 łosie, rogacze jak wymarzone, dwa ogromne, trzeci nieco mniejszy, powolutku zaczęły wychodzić, chwytając śnieg chrapami, na sam środek strzelców. Otóż tu zaszkodziła zbytnia gorliwość: „Trop de zèle“. Myśliwi, strzelb ze 20, rozstawieni byli w półksiężyc, mając przed sobą błoto małe (odkryte)— jednem słowem najdoskonalszą pozycyę. Gospodarz p. Michał stał mniej więcej w środku, a że się spodziewał aż trzech łosi, postawił za sobą strzelca z dubeltówką przeznaczonego do „poprawiania“. Miał to być człowiek wielkich cnót myśliwskich. Łosie po małem wahaniu się, zwróciły się wprost na gospodarza. Wszystko widać było jak na dłoni, zbliżały się powoli i były już może na odległość dwóch strzałów z gładkiej strzelby, a sztucera nikt nie miał, gdy wtem z za pleców gospodarza pada strzał. Co to jest! Pokazuje się, że strzelec p. Michała, przeznaczony do „poprawiania“ strzałów do łosi, poprawił sobie humor okowitą, i to tak skutecznie, że gdy tylko łosie spostrzegł, z radości na wiwat wypalił. Pan Michał do niego: „Coś zrobił gałganie!“ a on z głupią miną odpowiada: „Ja chacieu aścierażyć strelcou, kap dobra baczyli“. A łosie tymczasem już pełnym galopem rzuciły się na flankę strzelców, niestety samych partaczy. Jeden z nich z odległości 19 kroków, inni z dalszej nieco mety na szczęście popudłowali. Mówię na szczęście, gdyż dobrze, że nie poranili tego szlachetnego zwierza, co przy sposobie nabijania strzelb ich metodą łatwo zdarzyć się mogło. Jeden naprzykład nabiwszy kulą, po namyśle wpakował jeszcze na wierzch kilka lotek i dziwił się potem, że kiepsko strzelił.

Oto kilka cech charakterystycznych z naszych okolic. Wybaczcie łaskawi czytelnicy, że was tak długo tą gawędką nużyłem.

Ignacy Nałęcz Od.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Chorzelowie u hr. Jana Tarnowskiego odbyło się polowanie w dniach 3. i 4. stycznia. Pierwszego dnia polowano w lesie w 9 strzelb i zabito 83 zajęcy, drugiego dnia w 10 strzelb na polach zabito 310 zajęcy. Byłoby padło drugiego dnia przynajmniej 50 zajęcy więcej, gdyby bardzo brzydki czas nie dawał sposobności zającom przebijania się przez nagonkę. Rezultat to rzeczywiście świetny, dodać zaś muszę, że w trzech dniach poprzednio tj. na wilię 28. i 31. grudnia, polowano tylko w odleglejszych laskach i zabito w 7 strzelb 110 zajęcy; padło zatem w Chorzelowie przez ten krótki czas przeszło 400 zajęcy.

Należy się też gospodarzowi i jego synom uznanie i szczere podziękowanie za tę iście królewską biesiadę myśliwską.

— W Lesienicach pod Lwowem, w lesie „serednym", w którym prawo polowania dzierżawi od konwentu pp. Benedyktynek łać. p. Bronisław Komorowski, wspólnie z podpisanym — polowano z końcem grudnia w 8 strzelb W ośmiu miotach ubito 24 zajęcy i 2 lisy. Padło strzałów 81, w jednym miocie „kotłach" 38 strzałów. Strzelano do przeszło 50 zajęcy. Sarny miały szczęście, wynosiły się bowiem bokami. Po śniadaniu fotografował jeden z uczestników polowania p. J. Frenkl polujące grono. Stan zwierzyny w lesienickim lesie jest bardzo dobry i spodziewać się należy, że w roku przyszłym będzie jeszcze lepszym, ponieważ podajemy karmę zwierzynie i w tym sezonie żadnego polowania już nie będzie. W polowaniu wziął udział arcyksiąże Leopold Salwator z baronem Lazarinim i ubił lisa i 3 zające. Podpisany miał w dniu tym dobre spotkanie, uwieńczone niepoślednim rezultatem. Na dwanaście strzelanych sztuk ubił bowiem 9 zajęcy i 1 lisa.

Podając niniejszy rezultat do wiadomości ogółu pp. myśliwych, nie mogę pominąć najlepszych chęci miejscowego leśniczego p. Rappa, jakie poswięca dla ochrony zwierzyny i życzliwości dzierżawcy Lesienic p. Stauffera, który nam we wszystkiem jest pomocnym a w szczególności ułatwia nam dostarczenie karmy dla zwierzyny.

L. G. Dziubiński.

— W Bukaczowcach, w dobrach Bar. Teodora Christianiego w kniei Nowoszyn, odbyło się d. 16. stycznia polowanie, na którem ubito w 6 strzelb 1 rysia, 5 rogaczy i 5 zajęcy. Szczęśliwym myśliwym był porucznik obrony krajowej p. Henryk Sanojca. Ryś, który jak się zdaje, gonił właśnie za siutą, wyszedł na 20 kroków na p. porucznika, który celnym strzałem w komorę położył tego drapieżnika. Była to samica ważąca 18 klg., na 120 cm. długa a 70 cm. wysoka, widocznie bardzo stara, bo zęby ma, prócz haków, prawie zjedzone. *Komarnicki.*

— W Sarnach u p. marszałka Adama Łuckiego odbyły się trzy polowania, na których padło łącznie: 11 rogaczy, 8 lisów, 57 zajęcy, 4 słonki i kuropatwa, razem 81 sztuk.

— W Stopnicy obok Sambora na polowaniu u hr. Emilii Łosiównej padło w dniach 3. i 4. listopada 8 lisów i 20 zajęcy.

— W Czyszkach u hr. Maryana Łosia polowano dnia 21. listopada r. z. w trzy strzelby i ubito 6 rogaczy. Do zajęcy nie strzelano. Następne polowanie odbyło się dnia 24. grudnia r. z. Padło na niem 10 rogaczy, 2 lisy i 12 zajęcy.

— W Nadybach u p. Wł. Tchórznickiego d. 28. grudnia na polowaniu w ośm strzelb ubito 40 zajęcy i 2 rogacze.

— W Nowem Mieście obok Dobromila, u p. Kajetana Gurkowskiego, padło dnia 4. grudnia r. z. 4 rogacze, 8 lisów, 26 zajęcy i 2 jastrzębie.

O tej kniei dodać muszę, że przed paru laty tak w niej jakoteż i w okolicznych kniejach trop sarni i zajęczy należały do rzadkości. Trzy lata szanowania i ubycie z okolicy kilku notorycznych kłusowników, znalazły wyraz w tegorocznym wyniku. Oprócz drobnej zwierzyny bywa w tej kniei sporo dzików, których w trzech sezonach padło tu sztuk 22.

— W Ostrożcu u p. Janickiego na polowaniu, odbytem dnia 21. października r. z., ubito 4 rogacze, 5 lisów, 23 zajęcy, 6 słonek i 4 kuropatwy.

— W Podliskach u p. Jana Janickiego, na polowaniu odbytem w d. 10. grudnia r. z. padło 6 rogaczy, 2 lisy i 22 zajęcy. Na drugiem polowaniu, które się odbyło w dniach 13. i 14. stycznia, znalazło się na rozkładzie 11 rogaczy, 4 lisy i 22 zajęcy.

Gospodarz, który sam jest jednym z najznakomitszych Nemrodów, prowadzi osobiście polowania u siebie i umie gościom swoim sprawiać prawdziwe łowieckie biesiady. Wieczorami gościnny dwór państwa Janickich w Ostrożcu, gromadzi liczne grono sąsiadów, którzy tu po przyjemnościach kniejowych znajdują sposobność upolowania niejednej miłej chwili dzięki staropolskiej gościnności i serdeczności gospodarstwa. Lecz gospodarz cnotę gościnności uprawia i w kniei względem zwierza, którego starannie karmi i ochrania, to też w obec tylu pociągających stron, nie zapomina żaden z braci w św. Hubercie stawić się z prawdziwą satysfakcyą do apelu, gdy odzew łowiecki zabrzmi z Ostrożca.

A. Przedrzymirski.

— W Woli Małnowskiej u podpisanego, w nowo kupionej i mocno zaniedbanej kniei, padło na próbnem polowaniu w październiku 2 rogacze, 2 lisy, 15 zajęcy, 3 słonki i kuropatwa razem 23 sztuk. Prócz tego w polu, w jesieni, 27 kaczek krzyżówek, 112 kszyków i dubeltów, 217 przepiórek, 42 chruścieli i 7 jastrzębi, czyli ptactwa razem sztuk 398.

Aleksander Przedrzymirski.

— W Żukowie w powiecie horodeńskim u pana Antoniego Theodorowicza odbyło się d. 20. i 21. stycznia polowanie doroczne w dwanaście strzelb. Przy pięknej pogodzie, choć przy 15-stopniowym mrozie, wyruszyliśmy do lasu z gospodarzem na czele. W lesie wzorowo prowadzona nagonka, nadzwyczajny porządek i tajemnicza cisza, przerywana gęstemi strzałami, wszystko to stanowiło całość, upajającą duszę każdego myśliwego. Wielka ilość i różnorodność zwierzyny, w którą obfituje knieja żukowska, może zadowolnić najwybredniejsze wymagania. Bo oprócz ładnego stanu sarn i zajęcy, spotyka się często lisa i dzika.

Rezultat był bardzo piękny, gdyż padło 97 zajęcy, 9 rogaczy, 5 lisów i dzik. Cała myśliwska drużyna była przez uprzejmego gospodarza z prawdziwie serdeczną gościnnością przyjmowana i wywiozła z tych łowów bardzo miłe wspomnienie, z nadzieją, że i w roku przyszłym nie minie ją ta rozkosz, której w Żukowie doznała. *J. Z.*

— W Rusiłowie u p. Klemensa Torosiewicza odbyło się polowanie d. 17. grudnia z. r. Nie wielka to knieja, ale w zwierzynę bardzo bogata, dzięki staraniom i energii szanownego gospodarza, który pomimo zakorzenionego od lat dawnych kłusownictwa, grasującego od strony sąsiedniego Kutkorza, potrafił w ciągu lat niewielu tak znakomicie podnieść swój zwierzostan, że dziś knieja rusiłowska słusznie

uważaną jest za najpiękniejsze polowanie w tutejszej okolicy. Dość przejechać się przy ponowie po kniei, aby z mnóstwa tropów wyczytać, jak mnogo tu wszędzie zwierzyny. Nawet dziki zachodzą często do Rusiłowa z lasów Kutkorskich, a pojawiały się już i tego roku, ale na kilka dni przed naszem polowaniem wyniosły się zupełnie. Wynik naszego polowania był następujący: w 17 strzelb ubiliśmy 81 zajęcy i 7 rogaczy na 257 strzałów. Po ilości strzałów poznać można, że bardzo wiele zwierzyny uszło pogromu, a sarny już po pierwszych strzałach w kniei uchodziły z dalszych miotów na pole, salwując się w ten sposób przed ogniem naszych trzylufków.

— W Zadwórzu, Bohdanówce i Połonicach, w lasach należących do p. Hipolita Bohdana, polowaliśmy w dniach 19. 20. i 21. grudnia z. r. w 12 strzelb i ubiliśmy 33 zajęcy, 13 rogaczy i 1 lisa. Dodać tu muszę, że aura bardzo nam nie sprzyjała, zwłaszcza pierwszego dnia była zupełna odwilż i ostry wiatr przeplatany deszczem. Stan sarn w tutejszej kniei świetny — niejednokrotnie widuje się rudle z kilkunastu sztuk złożone, a prawdziwe uznanie należy się młodemu gospodarzowi p. Tadeuszowi Bohdanowi za szybkie i umiejętne prowadzenie polowania. *Leopold Łysakowski.*

— W Sewerynce u p. Bronisława Ujejskiego odbyło się dnia 9. stycznia polowanie w 9 strzelb. Padło 125 strzałów a ubito 39 zajęcy i 3 lisy; sarn, których się przedtem nigdy w Sewerynce nie widziało, było dosyć, ale wszystkie wracały na nagonkę. Wynik ubitej zwierzyny w stosunku do strzałów jest nieodpowiedni, przyczyną tego był dwudziesto-stopniowy mróz i silny wiatr, który literalnie nie dawał strzelby w rękach utrzymać.

Z przyjemnością nadmienić mi wypada, że stan zwierzyny w Sewerynce jest tak dobry jak rzadko, bo też p. Ujejski, prawdziwy miłośnik zwierzyny, szanuje ją bardzo nie polując tylko raz w rok, karmiąc sarny w zimie koniczyną, tępiąc lisy — przez co sprawił, że zajęcy i sarn jest obecnie bardzo dużo. Mam nadzieję, że na przyszły rok wynik polowania będzie o wiele lepszy. *Z. E.*

— W Rozborzu, pod Przeworskiem, na dzierżawionych przezemnie polach gminnych i dworskich, ubito w czasie od 1. stycznia 1892 do dnia 4. stycznia r. b. lisów 3, zajęcy 61, krzyżówek 20, cyranek 23, kaczek podgorzałek 6, krzyków 60, dubeltów 53, nurków 1, czapla-bąk 1, kulonów stepowych 2, kuligów 13, kurek łąkowych 25, przepiórek 29, kuropatw 57, derkaczów 38, siewek 2, jastrzębi 5, psów 13, razem sztuk 412.

Na zające i lisy polowaliśmy w kociołki. Krzyki strzelałem ostatni raz 18. października 1892. *S. Zalasiński.*

— W Chocimierzu, majątku p. Jełowickiej, polowano d. 3. stycznia w 4 strzelby i ubito dużą lochę, trzy kozły, lisa i 10 zajęcy, które strzelano tylko w jednym miocie.

— W Czarnołożcach u ks. Juliana Puzyny, polowano d. 9. stycznia w 15 strzelb. Z powodu 20-stopniowego mrozu z wiatrem i okiści zabito tylko 60 zajęcy, 3 lisy i 2 kozły. Przy pogodzie przyjaźniejszej mogło paść znacznie więcej, gdyż stan zwierzyny jest tu najlepszym z całej okolicy. Dziki również były strzelane, jednak niefortunnie.

— W Markowcach u p. Ładomirskiego, polowano dnia 10. stycznia w 10 strzelb i ubito 30 zajęcy i lisa. Podnieść tu należy zasługę właściciela, który umie ochraniać zwierzynę, ponieważ przed dwoma laty ani jednego zająca w kniei tej nie było. *S. J.*

— W Czudcu u p. J. Wiktora polowano 9. i 10. stycznia w 10 strzelb. Ubito 11 rogaczy, 7 lisów i 35 zajęcy. Stan zajęcy słabszy niż w latach poprzednich zapewne w skutek ostrej zimy.

— W Wielkich Oczach u br. Hagena polowano w dwanaście strzelb 23. i 24. stycznia i na 186 strzałów ubito 112 zajęcy i 13 kozłów.

Z Królestwa polskiego.

— W Brzeziu, na polowaniu odbytem w dniach 4. i 5. stycznia, ubito 538 zajęcy, 5 rogaczy, 13 kuropatw i 3 bażanty. Udział w polowaniu brali ks. Czetwertyński, St. Ciechanowski, Henryk Bloch, Józef Komierowski, ks. St. Lubomirski, Cz. Hornowski, Liedke, Adam Michalski, Aug. hr. Potocki, Józef Radoszewski, bar. Taube, Wiktor Reszke, J. Weyssenhoff, Karol Zieliński.

— W Dobrej, majątku p. Witolda Skórzewskiego, padło na polowaniu w kniei 57 zajęcy i 9 kuropatw.

— W Siemkowicach, w Wieluńskiem, na polowaniu odbytem w siedm strzelb u p. Ignacego Karśnickiego, ubito 2 rogacze, lisa i 48 zajęcy.

— W majątku Szpetal Górny w powiecie lipnowskim u p. Zdzisława Rutkowskiego, polowano d. 18. stycznia w dwanaście strzelb i ubito 2 kozły, 186 zajęcy i 16 kuropatw.

— W Skępem u pp. Zielińskich, na trzydniowem polowaniu w szesnaście strzelb ubito 10 kozłów, 430 zajęcy, 2 lis i kilkanaście kuropatw.

— W Korytnicy, w powiecie pińczowskim, na polowaniu w dwanaście strzelb ubito 2 odyńce, 5 warchlaków, 3 lisy i 96 zajęcy. Do sarn nie strzelano.

W polowaniu brali udział: panie Olizarowa i hr. Gümpfen, (z Galicyi) pp.: Kłopotowski, Gogolewski, Czerniewicz, von Waldorf, Mikutowicz, Zegart, Otwinowski i gospodarz.

— W Worońcu, u ks. Czesława Światopełka-Mirskiego, na polowaniu, które się odbyło d. 19. stycznia w dziesięć strzelb, ubito 80 zajęcy. Do sarn nie strzelano.

KRONIKA.

Kszyk w Styczniu. Mamy do zanotowania wypadek nadzwyczajny. D. 9. stycznia, na mrozie 19-stopniowym i po czterech tygodniach ostrego mrozu, zdybali myśliwi w Lesienicach pod Lwowem, w dolinie Heleny, na tak zwanych „Krętych potokach“ kszyka — żywego kszyka, który wzlatując wcale fertycznie burknął, gdy go p. B. Komorowski, przeskakując potok, wypłoszył. Świadkami bytności tego niezwykłego u nas w porze zimowej gościa, byli pp. Staufer i Dziubiński, których tu powołujemy, aby nas nikt o łacinę myśliwską nie pomówił. Kszyk siedział u brzegu potoczka, pod okapem lodowym jak pod daszkiem, chroniącym go od aury, która mroźnem swem powietrzem nie przypominała wcale lipcowych upałów.

O rysiach mamy kilka wiadomości. Na Bukowinie w okolicach Watromołdawicy ubito dwie sztuki, o rzadkim wypadku ubitego rysia w Bukaczowieckiem donosimy powyżej w sprawozdaniach łowieckich. Także z okolicy Bohorodczan Starych donoszą o rysiach, które wyrządzają gospodarzom szkody. Jeden z tych drapieżców zakradł się na podwórze gospodarskie posła Barabasza, zadusił mu trzy gęsi i ukrył się w stodole, gdzie zasnął. P. Barabasz zastrzelił go.

Wilkom na Bukowinie trzebaby otworzyć stałą rubrykę, chcąc podawać wszystkie te wiadomości, które stamtąd w każdej porze roku o pojawianiu się wilków nadchodzą. Oto wiązanka najnowszych doniesień.

W Rusamołdawicy zabito d. 23. grudnia wilka, a 31. tegoż samego miesiąca znowu jednego z gromady, która tego samego dnia 4 owce była rozdarła. Ten ostatni był to okaz niezwykłej wielkości. Żywej wagi miał 44 kilogrm. długość razem z ogonem wynosiła 2 10 m.

W zarządzie Watramołdawica zabito w tym sezonie 6 wilków, a jeszcze się ich kilka włóczyło. Równocześnie donoszą z Putny, że 5. stycznia liczna gromada wilków ukazała się w tej miejscowości i zrządziła znaczne szkody w inwentarzu. Z polecenia starostwa zarządzono obławę i ubito 7 wilków. Donoszą wreszcie z Gurahumory, że 5. stycznia w nocy wilki opadły na polu robotnika Wasyla Munteana i rozszarpały go tak, że następnego dnia znaleziono tylko buty i niedojedzone resztki kości nieszczęśliwego.

W Kaczycy 16. stycznia opadły wilki na polu miejscowego bednarza Jankla Bera i rozszarpały go na drobne szczątki. W Solce w nocy z 15. stycznia gromada wilków wtargnęła pomiędzy chaty i zrządziła ogromne szkody w inwentarzu. Trzy psy łańcuchowe, które puszczono na wilki, zostały przez bestye rozszarpane. W Humora wilki również napastowały ludzi. Wszędzie zarządzono obławy. We wsi Freudenthal w powiecie Kimpolungskim napadły wilki w biały dzień na zagrodę wieśniaka Ferdynanda Hendigera. Wilków było 18. Zwietrzyły one świnie w chlewie, a że chlew był niski, wydostały się na dach i tamtędy usiłowały dotrzeć do wnętrza. Hendiger strzelał do nich kilkakrotnie, ale to nie odstraszyło rabusiów. Dopiero gdy jeden strzał powalił wilka, reszta zeskoczyła z dachu i umknęła w pole.

We wsi Frumosa, w tymże samym powiecie kimpolungskim, rozdarły wilki dwanaście owiec. Urządzona na nie obława była bezskuteczną.

W Tereszenach dwa wilki opadły wieśniaka Ant. Ticcha, który powracał saniami z Czerniowiec do Terebestie. Wdarły się na sanie i bardzo niebezpiecznie pokaleczyły wieśniaka. Wreszcie przyszła mu myśl szczęśliwa. Zapalił zapałkę i rzucił ją na słomę na sankach, która też wybuchła płomieniem, i to dopiero odstraszyło wilki.

Wreszcie pod samemi Czerniowcami, na przedmieście Kaliczanka wpadły wieczorem dwa wilki, które przybiegły od strony Żuczki. Bestje wdarły się na podwórze domu Pereca Stechera, oderwały psa łańcuchowego i chwyciwszy go uniosły.

Cała ta wilcza kronika z niespełna dwóch miesięcy powinnaby chyba wystarczyć, ażeby rząd bukowiński zabrał się nieco energiczniej do tępienia tych drapieżców, które nie poprzestają na zwierzynie łownej ale i do skóry ludzkiej zaczynają się już dobierać.

Złączeni aż do śmierci. Królewski leśniczy Becker, obchodząc zwierzyniec w Reinhardswaldzie w Hanowerskiem, napotkał dwa jelenie splecione ze sobą wieńcami. Jeden z nich, dwunastak, już nie żył, a nawet znajdywał się w rozkładzie — drugiego, ósmaka wyswobodziła kula leśniczego od przymusowego połączenia z zapaśnikiem. Bliższe zbadanie wykazało, że zwycięski jeleń był już z 8 do 10 dni splątany ze swym poległym zapaśnikiem, i gdyby nie litościwa kula leśniczego, byłby musiał zginąć głodową śmiercią.

Hurma dzików. Do *Kurjera lwowskiego* piszą: „W Krościenku obok Chyrowa jest taka ilość dzików, że zachodzą do stajen, szop i piwnic gospodarskich. Po rządowym gościńcu spacerują stadami, niebojąc się ani przejeżdżających pociągów, ani tu stacjonowanych czterech żandarmów. Dnia 24. bm. w południe poszła służąca Izaaka Kurzweila do piwnicy po kartofle, tam zastała sporego warchlaka, którego domownicy z trudnością z piwnicy wygnali. Wygnany dzik chciał przez rzekę Strwiąż do lasu umykać, wpadł jednak do toni i tam zginął“...

Aż ślinka do ust idzie, jak się czyta tę relacyę. Chciałoby się czemprędzej brać expres na ramię i biegnąć do Krościenka — ale mimowoli wstrzymuje refleksya, że w tej barwnej relacyi musi być spora ilość myśliwskiej łaciny. Sam korespondent ściąga na siebie podejrzenie przesady, bo utyskuje przy końcu swej korespondencyi, że starostwo nie chce pozwolić na obławę.

Napady dzika na myśliwego, należą do takich rzadkości, że nieraz zdaje się, iż to już tylko legenda z dawnych czasów, i zbyteczną zdaje się być przezorność starych myśliwych, nakazujących gotować mary temu, kto się wybiera na odyńca. Lecz oto świeży a smutny fakt stwierdza przecież, że w obec rannych dzików jak największą ostrożność zachować należy. Z Królestwa donoszą, że p. Aleksander Kormowski, właściciel ziemski z pod Prużan, w straszliwy sposób został pokaleczony przez postrzelonego odyńca. Rozszalałe zwierzę pchnięciem kłów rozpłatało nieszczęśliwemu brzuch, skutkiem czego część wnętrzności wydostała się na wierzch. W bardzo groźnym stanie zdrowia odwieziono skaleczonego do Warszawy.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Kopernika 30.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.